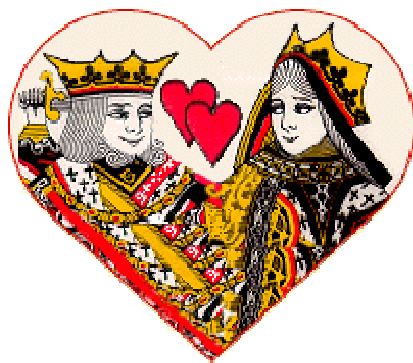




Catherine Mann



Dżoker

tytuł oryginału: THE JOKER



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Żywot księżniczki to po prostu męka zadawana przez dwadzieścia kilka kilogramów narodowych szat królestwa Cantou zwieńczonych diademem. Ewidentna groźba bólu pleców i ogólnego wyniszczenia organizmu Kim Wong, detektywa z policji Las Vegas.

A sygnału do porannej odprawy jak nie było, tak nie ma.

Kim, czekając, aż kawa w ekspresie ścieknie do dzbanka, niecierpliwie przestąpiła z nogi na nogę - obie obute w za ciasne pantofle - i zerknęła na stojących obok kumpli. A dokładniej, na ich złośliwe uśmieški.

- Daruj sobie, Jakowski - syknęła do tego, który stał najbliżej. - Bo pstryknę ci fotkę i wyślę żonie. Niech się dowie, kogo ma!

Przebrany za transwestytę policjant zakrył dłonią usta. Zakasłał, tłumiąc śmiech, po czym zagadał coś do kumpla, który wyglądał równie komicznie w szortach w kratkę, kwiecistej hawajskiej koszuli i z kamerą dyndającą na piersi.

Dom wariatów. Czy kiedykolwiek i gdziekolwiek miała miejsce tak przedziwna poranna odprawa dla policjantów- Chyba nie. Wszystko przez ten nieszczęsny bal maskowy. Kim, katowana przebogatym kostiumem, po raz kolejny powtórzyła sobie w pamięci, dlaczego pewnego dnia postanowiła porzucić całą tę pompę, całą tę królewską rzeczywistość i zintegrować się z rzeczywistością odmienną, z innego rodzaju atrakcjami. Jak na przykład ten zakład z kumpelkami, również detektywami, Dorian Byrne i Clarissą Rivers.

Każda z nich miała nadzieję, że pierwsza zakończy swoją sprawę i sporządzi raport końcowy. Powalczyć warto, bo założyły się o coś naprawdę fajnego. Wolny tydzień plus długi weekend w spa. Koszty ponoszą osoby przegrane, które dodatkowo w tym czasie będą harować za ciebie. Czyli w sumie rewelacja, zwłaszcza w sytuacji, gdy z powodu cięć personelu trudno doprosić się o wolny weekend, a co dopiero o cały tydzień.

Szef, kapitan Pearson, postawił cały departament na nogi w związku z wielką akcją oczyszczania miasta, zanim do Vegas zwałą się turyści na długi weekend z okazji Święta Pracy. Każdy policjant otrzymał tajne zadanie w którymś z podejrzanych kasyn. Kim przypadło kasyno „Great Wall”. W innej sytuacji tego kasyna może i nie brano by pod lupę, ale kapitan wolał dmuchać na zimne. Z drugiej strony może i nie na takie zimne, bo pewien informator, podobno wiarygodny, choć w szponach heroiny, doniósł, że właśnie to kasyno - o nazwie „Wielki Mur”, chiński, rzecz oczywista, czyli ukłon w stronę Azji - podczas tego weekendu będzie punktem przesyłowym skradzionych diamentów, które mają trafić to grupy radykałów szykujących rewolucję w Cantou.

W normalnej sytuacji sprawdzono by kasyno rutynowo, nie bawiąc się w żadne tajne misje, ale tym razem sytuacja nie była normalna. Kapitan Pearson też nie był w normalnym nastroju, mając na karku wymagających polityków i żonę, która przestała robić tajemnicę z faktu, że nadgodziny męża stanowczo przestały przypadać jej do gustu.

I z tej to przyczyny Kim nie była teraz ubrana normalnie, tylko w piekielnie ciężkie szaty, bogato haftowane plus wyszyte różnokolorowymi paciorkami i ozdobami z metalu. Podczas tego weekendu bowiem miała

wcielić się w swoją kuzynkę, rozpieszczoną i rozpuszczoną księżniczkę Ting. Bo ona i Ting podobne były do siebie jak dwie krople wody.

Księżniczka Ting. Wciąż księżniczka, bo chociaż trzydzieści osiem lat temu wojskowy pucz położył kres monarchii, rodzinie królewskiej pozwolono zachować tytuły. Tak przez zwykłą uprzejmość.

Nagle na swym ramieniu poczuła czyjąś rękę. Omal nie podskoczyła. A przecież to tylko Dorian. Wynurzyła się spośród małej barwnej grupki przebierańców - tresera lwów i małżeństwem na wakacjach. Ubrana była normalnie, ale to się zmieni. Wkrótce i ona miała wejść w cudzą skórę.

- Wytrzymaj, droga przyjaciółko - pocieszyła kumpelkę. - W sumie to nieważne, w co jesteś ubrana. Wszyscy wiemy, że masz czarny pas i potrafisz każdemu porządnie dokopać. A tak w ogóle... Kim, jak z twoją formą? Tylko szczerze.

- Bez obaw. Założyli mi tylko kilka szwów. Prawie nie czułam. Jakby to wcale nie była rana postrzałowa. Ale rozumiem, kochana, dlaczego to ciebie interesuje. Wolałabyś, żebym zrezygnowała z walki o wolny tydzień zakończony weekendem w spa?

- Ależ skąd! Po prostu dbam o twój tyłek. Chociaż, jak się tak wystroiłaś, nie wiadomo, czy w ogóle go masz!

- Lepsze to niż chodzić prawie na golasa!

- Fakt - przyznała ponurym głosem Dorian, która miała udawać prostytutkę.

- Przez te cholerne szpilki na pewno skręcę nogę.

- Może nie będzie tak źle. A jeśli już tak otwieramy się przed sobą, to przyznam ci się, że te szaty ważą chyba ze sto kilo.

- Dasz radę, Kim. Przebrniesz przez ceremonię powitalną, a potem będzie już z górki. Spokojnie sobie powęszysz...

- I przestań jęczeć, Kim! - rozległ się dźwięczny głos Clarissy Rivers. - Ciesz się, że nie musisz paradować jako dziwka albo pokojówka. Nie wiadomo, co gorsze.

- Z obrzydzeniem skubnęła swój fartuszek. Musiała mieć z nim jakieś wyjątkowo złe skojarzenia.

- Dzięki, dziewczyny, za dobre słowo i za to, żeście przyszły.

Kim doceniała ich obecność. Swoich rywalek, przecież założyły się o to, która pierwsza wykona zadanie. Clarissa i Dorian mogli brać się już do roboty, jednak przyszły tutaj, żeby podtrzymać na duchu Kim. Cóż, ten duch był nieco nadwątlony po strzelaninie sprzed miesiąca.

Clarissa stuknęła żartobliwie w książęcy diadem Kim.

- Nie mogliśmy przegapić tak efektownego startu naszej koleżanki!

- Siadajcie! - rozległ się tubalny głos, który zelektryzował wszystkich. Należący, naturalnie, do kapitana Pearsona. - Dziś mamy wiele spraw na głowie, dlatego od razu przystępuję do rzeczy. Zaczynamy od detektyw Wong. Zapraszam.

Czyli pora wykonać paradny marsz przez całą salę. Zegnaj, pykający ekspresie do kawy!

Odrzuciła głowę w tył i wysunęła się do przodu, życząc sobie w duchu, żeby tłum się rozstał.

Co też tłum uczynił.

Hm... Przymuszczałnie błękitna krew nie wyschła jeszcze w jej żyłach. Głowa Kim uniosła się odrobinę wyżej. Jej obstawa - tajniacy,

wszyscy w eleganckich czarnych garniturach - ustawili się po obu jej stronach i przemaszerowali przez salę. Kapitan nie krył zadowolenia.

- Dobrze. Wszyscy wyglądacie przekonująco. Właściwie można by już zaczynać, ale poczekamy jeszcze na jedną osobę. Na osobistego ochroniarza detektyw Wong.

Co? Wszelkie emocje Kim, przede wszystkim dreszcz podniecenia, ustąpiły miejsca irytacji.

- Osobisty ochroniarz? Dla mnie ? Czuję się urażona, panie kapitanie.

- Niepotrzebnie. W kasynie powinnaś mieć swojego goryla.

- Rzeczywiście. Przepraszam. Nie powinnam dopuszczać, żeby rządziło mną moje ego, a nie mózg.

Na pewno była trochę przewrażliwiona z powodu tej dyskusji na temat jej zadania, trwającej cały miesiąc. Ona nie wątpiła w siebie. Niestety, inni raczej tak.

- Obawiamy się o twoje bezpieczeństwo, Wong. Przecież nie chodzi tylko o drogocenne kamienie. Mamy informacje o groźbach pod adresem rodziny królewskiej z Cantou.

- Jestem teraz obywatelką Stanów.

- Ale podczas tego weekendu nie jesteś sobą.

Faktycznie. I dlatego w jej mózgu już zaczynał panować chaos.

- Jak wiadomo, podczas tego weekendu będziesz księżniczką Ting.

Dlatego przydzielenie ci do ochrony jeszcze jednego sprawnego faceta nie wydaje się pozbawione sensu. Do ochrony bardzo osobistej. Będziecie udawać, że chodzicie z sobą.

Jej facet... No nie! Spojrzenie Kim przemknęło po licznie zgromadzonych kolegach detektywach. Który z nich? Na pewno nie ten kretyn Jakowski. On tą swoją spódniczką ze spandeksu i różową szminką nikogo nie odstraszy...

- Uznaliśmy, że powinien to być ktoś, kto miał już okazję poznać panie z rodziny Wong... - Kim zamarła. W jej mózgu natychmiast zaczęło kiełkować okropne podejrzenie. - ...kiedy dwa lata wykonywał swoje zadanie w Cantou, wysłany tam z Siłami Powietrznymi USA.

Nie! Tylko nie on!

Niestety - on. Drzwi otwarły się szeroko, wpuszczając do sali człowieka, o którym Kim do dziś nie udało się zapomnieć. O mężczyźnie w niebieskim mundurze Sił Powietrznych, ozdobionym licznymi baretkami i srebrnymi skrzydłami, dowodem męstwa. Miała być to tylko krótka przygoda, a przerodziło się w coś... o najwyższej temperaturze. W coś niezapomnianego.

To on. Kapitan Markus „Dzoker” Cardenas.

Pół godziny później Mark, kiedy razem z Kim maszerował mrocznymi korytarzami posterunku, powtarzał sobie w duchu, że po prostu znów robi coś dla swojego kraju. Tak trzeba do tego podejść. W końcu służy swemu krajowi nie od dziś, w tym mundurze chodzi od dziesięciu lat. Walczył na Bliskim Wschodzie i w centralnej Azji, teraz Wuj Sam wezwał go do wzięcia udziału w dość dziwacznej akcji. W porządku. Mark swemu krajowi jest bardzo oddany. Przecież z tego między innymi powodu stracił narzeczoną.

Problem jednak polegał na tym, że w tym konkretnie zadaniu przez jeden weekend miał chronić Kim Wong. Dziewczynę, która dwa lata temu

zauroczyła go jak żadna przedtem. A potem go spławiła - ze względów patriotycznych.

Pech, po prostu wyjątkowy pech, że wybrali właśnie jego. Chociaż już sam fakt znalezienia się na liście kandydatów do tego zadania był wyróżnieniem. A że wybrali? Trudno się temu dziwić. Zanim wstąpił do Sił Powietrznych, był żandarmem wojskowym i brał udział w kilku tajnych operacjach. Poza tym znał tę kobietę, czyli był kandydatem wprost idealnym. Co prawda ta kobieta kiedyś go porzuciła, ale to już, jak mówią, całkiem inna para kaloszy. Sprawa jak najbardziej osobista. Kto wie, czy dzięki temu to zadanie nie będzie jeszcze bardziej zabawne?

Jakby jemu tej zabawy w życiu brakowało! Wkrótce po rozstaniu z Kim związał się na poważnie z pewną kobietą, która mieszkała niedaleko jego bazy. Spokojną, zrównoważoną osobą, całkowitym przeciwieństwem pełnej temperamentu i żadnej przygód Kim. Doszło nawet do zaręczyn. Niestety, podczas uroczystej kolacji w przeddzień ślubu narzeczona raptem wycofała się, podając jako powód charakter jego pracy. Jakby od samego początku nie wiedziała, na czym polega żołnierska robota. Wiadomo, że niebezpieczna, wystarczy spojrzeć na tę bliznę, pamiątkę po szrapnelach, które miały życzenie go trafić, kiedy wojskowe baraki wylatywały w powietrze.

Ciekawe, co powie Kim na tę wątpliwą ozdobę na jego policzku? A tak w ogóle - czy to naprawdę Kim, ta osoba w czerwono-pomarańczowych szatach z ponaszywanymi cudёнkami? Była owinięta tak szczelnie. Jak dawała radę w czymś takim się poruszać?

Doszli do wyjścia. Tu, jak się okazało, zrobił się mały zator. Prawdopodobnie jakieś zamieszanie w ruchu ulicznym. Dwie dziewczyny,

ustawione po obu stronach Kim, ten niespodziewany przystanek wykorzystają na zawarcie znajomości.

- Dzień dobry, kapitanie Cardenas - powiedziała jedna z nich w eleganckim kostiumie tak ciasnym, że z pewnością ją dusił.

- Jestem Dorian Byrne.

- Ja też pana witam, kapitanie.

Dziewczyna w różowym mundurku pokojówki uściśnęła mu dłoń, jednocześnie dyskretnie drapiąc się w ramię. Wysypka? Miejmy nadzieję, że nie zaraźliwa.

- Witam. Przypuszczam, że też jesteście detektywami?

- Tak, kapitanie. Pracujemy razem z Kim - wyjaśniła pani detektyw Elegancka. -I mamy nadzieję, że posiada pan odpowiednie wykształcenie, bo nasza Kim nigdy dotąd aż tak bardzo nie potrzebowała obstawy.

- Podczas tego weekendu w kasynie „Great Wall” ma być gorąco! - dodała z emfazą policjantko-pokojówka, machając mu palcem przed nosem.

Kim prychnęła.

- Oczywiście! Gorąco! Bo tak powiedział Scooter, nasz informator. Stróż w składzie mebli, a przy okazji zwyczajny ćpun. Heroina. Jak ma odłot, wydaje mu się, że jest prawdziwym gliną i dlatego nie wywalili go jeszcze z roboty.

Mimo lekceważącego komentarza Kim, Mark nie podchodził do sprawy tak lekko. Miał przeczucie, że będzie gorąco. To samo czuł już kiedyś, w Rubistanie, na kilka sekund przed tym, jak baraki wyleciały w powietrze. Poza tym nie bez powodu przydzielono jej tak liczną obstawę, z nim włącznie.

- Dzięki, dziewczyny - perorowała dalej Kim. - Ale może pozwolicie, że sama będę mówić za siebie. Jestem wystarczająco inteligentna, żeby przyjąć pomoc, o ile ta pomoc będzie wystarczająco inteligentna i nie będzie plątać mi się pod nogami.

Mało subtelna aluzja do okoliczności, w jakich się poznali. Wpadli na siebie na bazarze. Kim niosła owoce, on całe naręcze prezentów dla rodziny. Kimona, perły i owoce nagle znalazły się na ziemi. Oboje zaczęli się śmiać. Tym śmiechem Kim go zauroczyła i rozbawiła, a niełatwo dawał się rozśmieszać. Podobno w ogóle nie miał poczucia humoru, tak przynajmniej twierdzili jego koledzy, złośliwie nadając mu pseudo Dżoker.

Ale świat wokół Kim wydawał się zawsze jaśniejszy. Pełen blasku. Kiedyś...

- Ej, kapitanie! Odleciał pan? - Pokojówka ubrana na różowo znów pomachała mu palcem przed nosem. - Do roboty! Wpadliśmy z Dorian tylko na chwilę, żeby dać panu nasze błogosławieństwo. Ja już się zmywam, Dorian pewnie też. Ma ważną randkę z pasem do podwiązek i gorsetem.

Z gorsetem... Kiedyś widywał Kim w takim stroju. Kiedyś... Odruchowo spojrzał jej w oczy. Powiedzieć nic nie mógł, za dużo ludzi dookoła, ale może to i lepiej, bo nie wiadomo, jaki przebieg miałyby ta rozmowa. Ich ostatnie spotkanie było bardzo głośne. Wydzierali się na siebie, co w jego przypadku nie było zachowaniem standardowym.

Z dworu dobiegł ostry dźwięk gwizdka, potem okrzyk, żeby ruszać. Droga była wolna.

- A więc ruszamy, Kim. Kim? Teraz chyba powinienem nazywać cię Ting.

Drgnęła.

- Tak. Oczywiście, że tak! Tyle się zastanawiałam nad całą tą akcją, a o tym nie pomyślałam. Naturalnie. Teraz jestem Ting.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Uroczy, trochę tajemniczy. Tym uśmiechem zawsze przyciągała go jak magnes. Zwykle kończyło się na...

Stop. Żadnych głupich myśli. Teraz ma być jej obstawą, to wszystko. Znow się uśmiechnęła.

- Mark, nie wiem, czy warto o tym mówić - powiedziała półgłosem - chciałabym jednak, żebyś wiedział. Żałuję, że rozstaliśmy się w taki właśnie sposób. Ta awantura przy świadkach była absolutnie niepotrzebna.

Chciał jej uwierzyć. Czemu nie? Byłaby to kropka nad i, ostateczne zamknięcie tamtej historii, która na pewno w jakimś stopniu wpłynęła na jego relacje z następną kobietą. Z drugiej jednak strony ta kolejna historia, zakończona zerwanymi zaręczynami, nauczyła go nie ufać nikomu, nawet własnemu instynktowi, oczywiście gdy w grę wchodziły kobiety.

Kim, być może, wyraziła żal wyłącznie ze względów zawodowych. Chce oczyścić atmosferę, żeby współpracowało im się jak najlepiej.

Niech tak będzie. Przecież w tej sytuacji i tak nie było miejsca na szczerą rozmowę.

- Cieszymy się więc, pani detektyw, że los nam sprzyja, dając kolejną szansę na pożegnanie. Miejmy nadzieję, że tym razem będzie mniej burzliwe!

ROZDZIAŁ DRUGI

Stanowczo z nią było coś nie tak. To wewnętrzne dygotanie, kiedy siedziała w limuzynie z przyciemnionymi szybami. Technicznie można by określić to jako retrospekcję. Coś podobnego dopadło ją po tamtej strzelaninie, kiedy drasnęła ją kula, a partner stracił życie. Dlatego potem sporo czasu - na pewno więcej, niż by sobie życzyła - spędziła na „kozetce doktora Freuda” na upojnych dyskusjach o swoim dzieciństwie, które z kolei spędzała głównie w takiej właśnie limuzynie. Kiedy wszystko działo się pod dyktando dziadków. Rodzice Kim i rodzice Ting zginęli tragicznie podczas jazdy na nartach. Zabiła ich lawina. Babka bała się strasznie że może stracić pozostałych członków rodziny, otaczała więc obie dziewczynki nadzwyczajną opieką. Drugim podstawowym jej celem było wpojenie we wnuczki dumy z racji królewskiego pochodzenia.

Kim bardzo kochała swoją rodzinę. Ucieczka z tamtej rzeczywistości przed siedmioma laty wcale nie była łatwa, ale pragnienie wolności okazało się silniejsze ponad wszystko. Uciekła od pieniędzy, blichtru, różnego rodzaju ekstrawagancji i pułapek, czyli tego, w czym Ting tkwiła po uszy. Co najbardziej gryzło ją do dziś? Historia z Markiem. Poznali się przypadkiem przed dwoma laty w Cantou, kiedy Kim, jak co roku, pojechała odwiedzić ojczysty kraj. Byli z sobą, a potem... potem Kim pod naciskiem rodziny zerwała z nim. Kiedy powiedziała mu, że odchodzi, nie robił żadnych trudności. Trochę ją to ubodło, ale jednocześnie utwierdziło w przekonaniu, że jest to słuszna decyzja. Po tej całej historii skoncentrowała się przede wszystkim na pracy. Rodzinie zapowiedziała, że do Cantou przyjeżdżać będzie tylko wtedy, gdy okaże się to naprawdę

konieczne. Na pewno nie na każde zawołanie. Wtedy też złożyła podanie o szkolenie na detektywa.

Teraz znów siedziała obok Marka. Bliziotko. Mimo tylu warstw materiału koszmarnej szaty czuła ciepło jego długiej, umięśnionej nogi.

O tak, czuła to stanowczo zbyt intensywnie, dlatego żeby skupić się na czymś innym, spojrzała w szybę samochodu. Las Vegas odsypiało nocne szaleństwo. Turystów na ulicach było niewiele, kasyna i lokale rozrywkowe, o zmroku rozjarzone tysiącem świateł, teraz, w świetle dnia, wydawały się dziwnie mroczne.

Palce Kim musnęły zawiły haft zdobiący brokat barwy ognia. Przed limuzyną, a także za nią, jechały samochody z eskortą. Jak kiedyś. Miała wtedy uczucie, że się dusi. Coś z tego pozostało już na zawsze. Kiedy kupowała samochód, wybierała duży, cztero-śladowy. Chciała mieć wokół siebie przestrzeń i dużo metalu.

Co się dziwić. Trzy zamachy na jej życie. Trzy, zanim ukończyła dziesięć lat. To oczywiste, że pozostawiły w niej trwałe ślady, dlatego, być może, ta ostatnia strzelanina była dla niej tak ciężkim przeżyciem.

Postrzelili ją. Partnera zastrzelili

Taka praca.

Trzeba skupić się na niej. Ciekawe, czy informacja Scootera jest prawdziwa. Czy te kradzione diamenty rzeczywiście podczas tego weekendu trafią do kasyna. Kto na nie czekać Jakieś ugrupowanie z Cantou? Podobno sytuacja unormowała się tam do pewnego stopnia, ale nadal działają różne radykalne ugrupowania, które domagają się powrotu monarchii. Co było tylko przykrywką. Bo w rzeczywistości ci ludzie wcale

nie chcieli, żeby krajem rządził mądry, sprawiedliwy władca. Chcieli dyktatury.

Dążyli do tego, mówiąc oględnie, w sposób bezkompromisowy. Kim zadrżała, kiedy przed oczyma pojawiła jej się straszna scena, którą widziała w telewizji satelitarnej. Tortury, najbardziej wymyślne i przerażające. Miejsce, gdzie pogrzebano ciała, znaleziono później.

Jeśli to prawda z tymi diamentami... Nie wolno dopuścić, żeby wpadły w ręce tych potworów, którzy dzięki nim będą mogli sfinansować tę swoją rewolucję.

Znajdzie tego kuriera. Znajdzie go w kasynie „Great Wall”.

Nagle poczuła, jak palce Marka delikatnie obejmują jej zimną dłoń. Szarpnęła się. Głupio. Tak gwałtownie, jakby poraził ją prąd.

- Dlaczego? - spytał. - Przecież pracujemy razem. Jesteśmy parą. Musisz się przyzwyczać, że cię dotykam.

W porządku. Miał rację, pracują razem.

Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

Mark mrugnął do niej. Coś niebywałego u człowieka o tak surowej twarzy.

- Jesteś przecież moją dziewczyną.

- Wybacz, ale dziewczyną to ja nie jestem już od kilku ładnych lat.

- Przepraszam... - Puścił jej rękę, ale tylko po to, żeby objąć ją ramieniem. - No to... jesteś moją kobietą. Damą mojego serca. Moim skarbem. Wybieraj!

Milczała. Nieruchoma jak skała, bała się uczynić najmniejszy ruch, żeby Mark nie zorientował się, jak na nią działa. Bo nadal działał, i to piorunująco.

Dlatego najlepiej teraz nic nie mówić, nie ruszać się i przede wszystkim usunąć spod powiek kretyński obrazek, który tam się pojawił.

Kim i Mark. Całują się...

Samochodem szarpnęło.

- Jak jedziesz?! - krzyknęła do kierowcy za grubą szybą, oddzielającą go od pasażerów. W tym momencie poczuła na plecach rękę Marka.

Spychał ją na podłogę.

- Kryj się! - krzyknął. - Strzelają! Najpierw świst kuli. Zaraz potem obok limuzyny przemknął z rykiem granatowy mercedes. Kim mignęła przed oczami wystawiona lufa. Twarzy strzelającego nie zdążyła zobaczyć.

Limuzyna znów wykręciła gwałtownie. W ręku Marka pojawiła się broń. Wycie klaksonów, pisk opon. Ktoś gdzieś krzyczał histerycznie. Co się stało z eskortą?- Gdzie są towarzyszące im samochody?!

Z bijącym sercem oparła rękę o drzwi limuzyny i sięgnęła pod spódnicę po broń przytroczoną do nogi. Uniosła się jak najostrożniej i wystawiła lufę przez stłuczoną szybę.

Mercedes był przed nimi. Uciekał. Znikł w bocznej ulicy tak samo błyskawicznie, jak się pojawił.

- Mark?- Co z tobą?

Na szczęście już na pierwszy rzut oka widać było, że nic mu się nie stało. Teraz próbował desperacko precyzyjnie się przez okienko w szybie oddzielającej kierowcę od pasażerów. Nadaremnie, bo przeszkadzały szerokie ramiona.

Dlaczego to robił? Kim wbiła wzrok w szybę. Kierowca, tajniak Vincent. Głowa na kierownicy, noga na pedale gazu. Nieprzytomny, może martwy.

Do cholery! Nie mogła mu ta noga opaść na hamulec?

Tim, partner Vincenta, zwisał bezwładnie w pasach. Obaj krwawili.

Nic dziwnego, że samochodem tak rzucało.

- Mark! Odsuń się! - Odsunął się natychmiast, chwycił ją w pól i wepchnął w okienko. Do połowy, dalej nie pozwalał jej kostium. - Cholera!

Wychyliła się jak najdalej i chwyciła za kierownicę dokładnie w chwili, kiedy samochód pruł prosto na przebiegających przez ulicę roześmianych świeżo upieczonych małżonków. Ona z kwiatami, on w kostiumie Elvisa wyszywanym cekinami.

Nacisnęła na klakson raz, drugi, trzeci. Nareszcie. Ludzie i kierowcy w innych samochodach w końcu się zorientowali i zaczęli uciekać na chodnik i do bocznych ulic. Kim nie słyszała wycia klaksonu. Adrenalina szumiała jej w uszach. Framuga okienka wrzynała jej się w bok. Na liczniku osiemdziesiątka. Limuzyną zarzucało.

Jedno jedyne pragnienie. Oby Markowi w końcu udało się przepchnąć ją przez to pieprzone okienko!

Usłyszała chrzęst brokatu. Mark zaczął zrywać z niej kostium od pasa w dół. Szarpał z pasją, ale ona i tak poganiała go w duchu. Szybciej, do cholery! Nie możesz tego zrobić szybciej?!

Wreszcie poczuła chłód wokół nóg. Mark oparł mocno dłonie na jej pośladkach przyodzianych w...

To naprawdę nie była pora, żeby próbować sobie przypomnieć, jakie majtki włożyła dziś rano. Naprawdę nieistotne, kiedy stoi się w obliczu śmierci. Niemniej jednak... Jeśli tragiczny finał ma nastąpić, Kim w ostatnich chwilach swego życia wolałaby nie demonstrować facetowi jakiejś nieciekawej bielizny.

Przeciwnie. Okazuje się, że jest wyjątkowo interesująca.

Pomarańczowe figi, właściwie sama koronka. Idealnie prześwitująca.

O nie...

Jak worek kartofli wylądowała na nieprzytomnym Vincencie. Może już martwym. Dlatego poprzedni dylemat natychmiast odszedł w niepamięć. Ale nie miała jak sprawdzić stanu postrzelonych policjantów. Nie teraz, kiedy samochodem zarzucało i co chwila walił w krawężnik.

Już siedziała na kolanach Vincenta. Był to jedyny sposób, żeby opanować kierownicę. Ciężko dysząc, skopała nogę Vincenta z pedału gazu.

Nacisnęła hamulec. I nic. Dlaczego ten przeklęty samochód nadal przejeżdża do przodu?

- Cholera! - krzyknął Mark. - Mamy nowy problem!

Oczywiście. Drugi kretyński samochód walił w limuzynę od tyłu. Kim, walcząc z kierownicą, starała się za wszelką cenę pozostać na jezdni. Cud, że jeszcze na niej była, a nie wjechała na przykład na tę młodą matkę, która pchała podwójny wózek z bliźniakami. Niestety, w pewnych sytuacjach zachowanie kontroli nad pojazdem wcale nie jest takie proste, jak się wydaje podczas nauki w akademii policyjnej.

Nacisnęła pedał gazu. Byle do przodu, jak najszybciej. Jej umysł pracował gorączkowo. Gdzie jest najbliższy posterunek? Tam! Trzeba

jechać w tamtą stronę! I dojechać. Wtedy prześladowcy na pewno odpuszczą i uciekną.

Mark wsadził rękę przez okienko i zabrał broń rannych kolegów.

- Masz jeszcze jakąś broń? - krzyknął do Kim. - Daj mi! Zajmę się tymi z tyłu. A ty skup się tylko na prowadzeniu!

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

„Skup się tylko na prowadzeniu”. Łatwo powiedzieć. Kolejne uderzenie terenówki omal nie wysłało limuzyny do sąsiedniego hrabstwa. Limuzyny, która podczas prowadzenia była toporna jak czołg. Ale co tam. Kim chwyciła za kierownicę jeszcze mocniej. Po prostu zakleszczyła na niej palce. Mark tymczasem z całym arsenałem broni dwóch postrzelonych policjantów wycofał się na tył samochodu.

- Tylko uważaj! - krzyknęła do niego przez ramię.

- Jasne! Przecież tu wszędzie są piesi! W tym momencie jak na zawołanie jakaś mocno starsza już para, czepiając się siebie nawzajem, w ostatniej chwili uciekła z krawężnika z powrotem na chodnik. Kamera mężczyzny obijała się o dużą torbę kobiety. Kim miała nadzieję, że żadne z nich nie dostanie zawału i wycieczka do Las Vegas - prawdopodobnie z powodu pięćdziesiątej rocznicy ślubu - pozostawi miłe wspomnienia.

Mark wychylił się z samochodu, wystrzelił i błyskawicznie cofnął się do środka. Dosłownie na ułamek sekundy przed potężnym uderzeniem terenówki, które mogło wyrzucić go z auta. Kim spojrzała w lusterko wsteczne. Terenówka nadal jechał za nimi, ale przynajmniej już innym pasem.

I o ile wzrok jej nie mylił, dzielni staruszkowie spełniali swój obywatelski obowiązek. On pstrykał zdjęcia, ona notowała coś na kawałku papieru. Miejmy nadzieję, że numery rejestracyjne tej cholernej terenówki.

Oderwała jedną rękę od kierownicy i chwyciła za radionadajnik przy pasku Vincenta.

- Mark, weź to. Połącz się z posterunkiem. Powiedz, żeby zaalarmowali posterunek w tym rejonie, to już niedaleko stąd. Pomogą nam pozbyć się naszych przyjaciół.

- Dobrze myślisz!

Odebrał od niej radio i zaraz zaczął się łączyć. Kim gnała do przodu, co chwila zmieniając pas.

- Załatwione! - zawołał po chwili. - Zawiadamiają wszystkie radiowozy. Tylko nie wiem po co, skarbie. Kiedy ty siedzisz za kółkiem, jestem spokojny, że damy radę!

Nie spodziewała się, że tego dnia po raz drugi będzie gapić się na kawę w dzbanku w ekspresie na posterunku policji. Jedyna różnica polegała na tym, że dzbanek tym razem nie był pełen. Tylko resztki, jakieś dwa centymetry ciemnej cieczy dla kogoś bardzo odważnego, kto zdecyduje się wlać je do jednego z plastikowych kubków ustawionych w słupek obok pojemniczka z mleczkiem.

Kim, gapiąc się na wspomniany dzbanek, odtwarzała sobie w głowie wypadki tego poranka. Strzelano do niej, potem jakiś maniak w mercedesie usiłował staranować limuzynę, którą ona gnała przed siebie, zdzierając opony niemal na wylot.

Szalona jazda w wykonaniu Kim Wong. Ale nawet Kim Wong nie odważyłaby się wypić resztek tej lury z policyjnego ekspresu.

Odwróciła się od kontuaru i ujrzała coś równie zatrważającego jak ta kawa w dzbanku. Gniewne oblicze kapitana Pearsona, który właśnie wkroczył do sali odpraw.

- Co, u diabła, tam się działo, Wong?! - zagrział.

- Z nami wszystko w porządku. Dziękujemy, że pan kapitan tak się o nas troszczy! - Nie, nie mogła sobie darować tej szczypty ironii. Szef mógłby chociaż w dwóch słowach wyrazić radość, że ona i Mark nadal pozostają wśród żywych. - Co do przebiegu wydarzeń, myślę, że przedstawiłam go wyczerpująco, kiedy dzwoniłam po drodze na posterunek.

- Niedobrze, Wong. Bardzo niedobrze!

Podrapała się w obtarte miejsce na ramieniu. Wspomnienie po stroju narodowym, który był w strzępach. Teraz Kim miała na sobie strój wygodny, czyli spodnie od dresu i policyjny T-shirt.

- Panie kapitanie, jestem daleka od zadowolenia z powodu takiego a nie innego biegu wypadków, ale cieszę się, że Vincent i Tim żyją.

Jak na razie, można by dodać gorzko. Vincent nadal był w rękach chirurgów. Tim nie pamiętał niczego. Kula, która drasnęła go w głowę, musiała narobić bałaganu z jego pamięcią.

- Dwóch policjantów mam w szpitalu, limuzyna została ostrzelana, a Scooter, nasz informator, został znaleziony martwy za kasynem „Great Wall”. Podobno przedawkował.

Krew w żyłach Kim natychmiast uzyskała temperaturę lodu. A więc to tak... Pozornie niewiarygodna informacja narkomana w jednej sekundzie stała się jak najbardziej wiarygodna.

- No właśnie... - Kapitan podrapał się w łysinę zroszoną kropelkami potu. - Przede wszystkim potrzebny ci jest nowy kostium. Proszę.

Podał jej wielkie brązowe pudło, ważące - wiadomo - ponad dwadzieścia kilo. Kim westchnęła, wszystkie obtarte miejsca zaczęły

swędzieć. Spojrzała na Marka, który stał kawalek dalej. Nieruchomo, zatopiony we własnych myślach. Jak dotąd nie odezwał się ani słowem.

A kapitanowi, który przechadzał się po sali, usta się nie zamykały. Teraz omawiał nowy wariant planu.

- Najpierw twoje entrée. Odbędzie się przed wieczornym bankietem, a nie po południu przed show muzycznym, jak planowaliśmy wcześniej. Dzięki temu zyskamy czas na przegrupowanie i zapewnienie bezpiecznego przejazdu. Potrzeba nam więcej ludzi, zwłaszcza podczas balu maskowego.

Bezradnie potrząsnął głową, a Kim w tym momencie z całą ostrością uświadomiła sobie powagę sytuacji. Ktoś próbował ją zabić. To znaczy nie ją, a księżniczkę z Cantou. Scooter nie żyje.

Wszystkie informacje okazały się prawdziwe. Zarówno te o działalności podziemnej rebeliantów, którym marzy się dyktatura, jak i wiadomość o przekazie drogocennych kamieni. Kim Wong, oprócz obowiązków służbowych, ma jeszcze obowiązki wobec własnego kraju i swojej rodziny.

Powstrzymać tych szaleńców.

Nagle pudło w jej rękach wydało się o wiele cięższe.

Dusiła się tą całą pompą, dobrze znaną z przeszłości, którą zaserwowano, kiedy wysiadali z limuzyny przed kasynem „Great Wall”. Ale przynajmniej tym razem dojechali bez szwanku. Mimo to Kim i tak wolałaby teraz oglądać mecz bejsbolowy, na przykład Dodgersów w akcji. Albo łązić po parku razem z psem. I może z jakimś facetem.

Może... z Markiem?

Tak. Bardzo chętnie poszłaby z nim razem do parku, ale z takim Markiem, jakim był przedtem. Uśmiechniętym. Mark nigdy nie był facetem, który szczyrzył zęby z byle powodu, ale uśmiechał się, i owszem. Był to raczej taki półuśmiech. Ujmujący, ciepłutki, w kącikach oczu pojawiały się drobniutkie zmarszczki... Mark po prostu był pogodnym facetem, a nie ponurakiem, jak teraz, który prawie wcale się nie odzywa.

Teraz razem z Markiem, trzymając się pod rękę, wchodzili po przykrytych czerwonym chodnikiem schodach. Powoli, ponieważ wąska spódnica skutecznie krępowała ruchy Kim.

- Mark - odezwała się półgłosem - nikt nie uwierzy, że jesteśmy parą, jeśli będziesz patrzeć na mnie tak jak teraz, ze złością. Patrzysz zresztą tak na wszystkich.

- Mam swoje powody - szepnął i pogłaskał ją po rękę, co oczywiście wystarczyło, żeby się potknęła. - Ktoś chciał cię zabić, i to mnie wkurza.

- Aha.

Pokonali schody, Kim próbowała skupić się wyłącznie na podążaniu do drzwi pomalowanych na złocisty kolor. Jednak w jej głowie trwała gonitwa myśli.

Jest wkurzony? Na nią na pewno też. Niedobrze, a to ze względu na te różne uczucia, które budziły się w niej, choć starała się nie dać im dojść do głosu.

Dlaczego wtedy od niego odeszła?

Ze strachu. Bała się utraty niezależności, wiążąc się z tak silną osobowością. Bała się zerwać ostatecznie ze swoim krajem, bała się utracić kochającą rodzinę.

Prawie usłyszała Ting rechoczącą ze śmiechu. I komentarz: „Ty głupia naiwniaczko!”.

- Potrafię się obronić, Mark. Jestem wyszkoloną policjantką. Oficerem.

- Wiem, ale jeśli chodzi o mnie, niczego to nie zmienia.

- Niemniej wyluzuj trochę, bo inaczej ludzie zaczną się zastanawiać, dlaczego jeszcze cię nie spławiłam.

- Faktycznie. Spojrzę na ciebie inaczej. Spojrzał. W jego oczach było tyle żaru, tyle pożądanía. Zadrżała jak liść na wietrze, ale natychmiast przywołała się do porządku.

To gra. Oboje tylko udają zakochaną parę. Trzeba twardo stąpać po ziemi, co wcale nie jest łatwe.

Przełknęła z trudem.

- Dobrze - powiedziała. - Tak jest o wiele lepiej. Wchodzimy.

Dwóch portierów otworzyło drzwi. Usłyszała szmer rozmów, potem gong. Odruchowo wyprostowała się, głowa lekko odrzucona w tył. W końcu tej pozy uczono ją niemal od kołyski.

Wkroczyła do sali. Natychmiast ogarnęły ją odgłosy kasyna. Dzwoneczki, cichy gwizd i pochrząkiwanie maszyn. I głosy ludzi. Śmiech, radosne okrzyki albo narzekanie. Zakłady. Wszystko kolorowe, wszystko w ruchu, spowite w smakowite zapachy dobiegające z bufetu.

Wszędzie, zgodnie z nazwą kasyna, akcenty azjatyckie. Może i trochę kiczowate, ale miło było na nie spojrzeć.

Przez tłum przeciskał się do nich właściciel kasyna.

- Witam, witam! Wielki to zaszczyt dla mnie powitać Waszą Wysokość w naszych skromnych progach!

- Dziękuję, panie Czang. Bardzo się cieszę, że mamy okazję odwiedzić pańskie kasyno. Chciałabym się trochę rozerwać, nacieszyć wolną chwilą, oderwać od obowiązków. Kochanie... - Uśmiechnęła się słodko do pseudoukochanego. - Od czego zaczniemy?

- Twoja asystentka ma rozkład dnia. Ja jestem tu tylko po to, żeby cieszyć się twoim widokiem, moja najdroższa Ting.

Wreszcie ten półuśmiech. Urzekający. Taki jak przed dwoma laty. Poza tym - najdroższa...

Przed Kim pojawiła się Sun. Tajniaczka, która zwykle patrolowała ulice, teraz asystentka księżniczki Ting.

- Najpierw sesja zdjęciowa przy Fontannie Pomyślności, Wasza Wysokość. Potem zmiana stroju na bardziej wygodny.

Wygodny strój. Magiczne słowo. Kim ścisnęła Marka za ramię.

- Poszukajmy więc tej fontanny jak najszybciej.

Ależ ten Mark ma mięśnie... Przed dwoma laty te silne ręce obejmowały ją mocno, a ona wyginała się w łuk, żeby go pocałować...

Stop. Nie pora na takie wspomnienia. Takie wspomnienia to dowód, że jest problem. Bardzo poważny, który niepotrzebnie będzie rozpraszać podczas tego weekendu, kiedy Kim powinna całkowicie skupić się na swoim zadaniu.

To konkretnie zadanie będzie również bardzo trudne, dlatego że u swego boku ma się seksownego ochroniarza w pięknym paradnym mundurze pilota wojskowego. A wtedy ma się coraz większą ochotę, żeby wspomniany ochroniarz na jakiś czas wydobył swoje ciało z tego munduru i...

Wreszcie ostatni błysk flesza, oczywiście prosto w oczy. Mark zobaczył gwiazdy, potem na moment ciemność. Co bardzo mu się nie podobało. Chwilowa ślepotą to niemoc. Brak możliwości obrony i siebie, i Kim.

Położył rękę na jej plecach i poprowadził przez tłum. Obok tryskały bajecznie kolorowe fontanny, gdzieś w tle grała kapela. Ledwie zdążyli zrobić parę kroków, kiedy dopadli ich reporterzy. W sumie czterech, co ze względu na bezpieczeństwo Kim Markowi również nie przypadło do gustu.

Pierwsza podskoczyła do niej kobieta z notesem.

- Czy pani i ten pilot myślicie o sobie poważnieć

Kim uśmiechnęła się i przysunęła się do Marka jeszcze bliżej.

- A jak pani rozumie słowo „poważnie”? Markowi podetknięto mikrofon pod nos i jakiś facet spytał:

- Czy państwo będziecie mieszkać w Ameryce, czy za granicą?

- Za wcześnie o to pytać - rzucił Mark szorstko.

- Ale planujecie państwo usłyszeć bicie dzwonów weselnych? - krzyknęła starsza pani z fotografem u boku.

Blizna na policzku Marka zaswędziała wyjątkowo dokuczliwie. Dzwony weselne... W jego przypadku owszem, miały bić, ale narzeczona w ostatniej chwili zrejterowała.

- Bez komentarza.

Jakiś inny facet, wypisz-wymaluj Ichabod Crane z „Jeźdźca bez głowy”, spytał:

- Czy to wzmocni więzy między naszymi krajami?

- Bez komentarza - powtórzył Mark i ruszył do przodu, odsuwając reporterów na bok.

Kim zdecydowała się jednak na kilka słów wyjaśnienia. Podniosła wysoko swoją książeczą rękę i uśmiechnęła się łaskawie.

- Wybaczcie, państwo, ale stanowczo jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek spekulacje na temat naszego związku. Przyjechaliśmy tu na wypoczynek, rozerwać się po licznych obowiązkach. Chcielibyśmy obejrzeć kilka show, kto wie, czy nie skusi nas ryzyko i nie pogramy trochę.

- Chodzą pogłoski, że państwo spotykali się już przed dwoma laty. Czy to chodziło o panią, czy o pani kuzynkę?

- Oczywiście, że o mnie. - Kim uśmiechnęła się, unosząc władczo głowę. - Przez krótki czas. Teraz odnowiliśmy znajomość, ale, jak wspomniałam, jeszcze za wcześnie na pisanie bajki o księżniczce i żołnierzu. Najpierw musimy upewnić się w naszych uczuciach. Co będzie dalej? Zobaczmy. Jeśli dojdzie do konkretnych ustaleń, oczywiście podzielimy się tym z mediami. Być może to właśnie państwo uzyskacie informacje z pierwszej ręki.

Wszyscy zaśmiali się uprzejmie, ha ha ha, a Mark najchętniej by tym durniom przyłożył. Jak ta Kim mogła żyć w takiej atmosferze? Nic dziwnego, że dała drapaka.

Ruszyli do przodu. Nagle Kim wydała z siebie cichutki pisk, co przypomniało Markowi, że teraz nie pora na jakiegokolwiek refleksje. Najdrobniejsza chwila nieuwagi może drogo kosztować.

Bardzo drogo. Życie Kim.

Objął ją szybko wpół i przyciągnął do siebie.

- Co się stało?

Stała nieruchoma, sztywna. Oczy szeroko otwarte. Co w nich było? Oburzenie?! Tak. I lęk.

- Ten człowiek, tam na lewo - szepnęła - przed chwilą mnie potrącił. A tak właściwie to mnie obmacał.

Co jest?! Mark spojrzał szybko we wskazanym kierunku. Jakiś mężczyzna w ubraniu kelnera podejrzenie szybko przepychał się przez tłum. Już znikł, twarzy nie zdążyli zobaczyć. Czyli facet przypadł.

Jedyne, co Mark mógł zrobić, to jak najszybciej wyprowadzić stąd spłoszoną Kim. Żadnych zdjęć, żadnych wywiadów. Rano strzelano do niej, a teraz ten gość. Jak na jeden dzień - wystarczy.

Odetchnął dopiero wtedy, kiedy drzwi windy się zamknęły.

Kim oparła się plecami o lustrzaną ścianę.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Wszystko w porządku. Tylko popatrz! Ten facet rozdarł mi suknię. O tu, na szwie.

- Co?

Rzeczywiście. Szew był rozpruty na długości dobrych kilku centymetrów, dlatego trudno było nie zauważyć, że Kim ma stanik z pomarańczowego atłasu i koronki, jak te figi, które widział już w limuzynie. Trudno było nie zauważyć kuszącego zarysu okrągłej piersi...

- Ten debil nie tylko mnie obmacał. Wyrwał kawałek materiału.

Jej głos drżał z oburzenia.

- Spokojnie, Kim. Poddychaj sobie, głęboko.

Patrzył jej w oczy. Było to tak samo rozpraszające jak patrzenie na zarys jej piersi. A niech to szlag! Nadal działała na niego, i to teraz, kiedy

nie wolno dopuszczać do żadnych skoków adrenaliny. Najważniejsze jest jej bezpieczeństwo.

- Nic dziwnego, że cię wkurzył, ale uspokój się, Kim, w końcu nic się nie stało.

Winda dowiozła ich do penthouse'u. Drzwi zaszeleściły, ręka Marka natychmiast spoczęła na pistolecie ukrytym pod marynarką.

Korytarz zionął pustką.

- Ten kostium jest bardzo niewygodny - oświadczyła Kim. - Nie bez powodu ciągle narzekam. Ale przecież to nasz narodowy strój. Ten debil śmiał go porwać. Nie daruję mu tego!

Uniosła dumnie głowę. Po królewsku, a jakże. Bo w tej twardej, złej teraz jak osa policjantce nadal istniała tamta Kim sprzed dwóch lat.

Dumna Kim, nadzwyczaj ceniąca swoje królewskie korzenie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kim rozpakowała rzeczy i przebrała się. Przedtem, naturalnie, wzięła prysznic i teraz, zagapiona w lustro toaletki, doszła do wniosku, że ten prysznic jednak ją zrelaksował. No, może nie tak do końca, ale przynajmniej była wymoczona i czyściutka, poza tym miała za sobą kilka chwil samotności, podczas których nie musiała udawać bohaterki.

Uczesała się, z przyjemnością popatrując na sukienkę. Bardzo ładną, w kolorze szmaragdowym. Obcisłą i ze stójką, czyli zdecydowanie nawiązującą do tradycji azjatyckich, na pewno jednak lżejszą i wygodniejszą niż jej poprzedni strój. Czyli super. Dalsze odgrywanie roli nie będzie już tak bolesne.

Mark rozsiadł się wygodnie w fotelu koło okna i popatrywał sobie. To na nią, to na ściany udekorowane ręcznie malowanymi wachlarzami, to na luksusowe meble. Trwał w pobliżu. Na samotność pozwolił jej tylko pod wspomnianym prysznicem, bo poza tym ani na minutę nie spuszczał jej z oka, chociaż ich apartament z dwoma sypialniami i salonikiem był bardzo dobrze strzeżony przez tajniaków.

Mimo to trwał w tym fotelu. Oczy Marka błyszczały, co jeszcze bardziej deprymowało Kim. Bo w gruncie rzeczy cała ta sytuacja jest bardzo intymna. To wspólne ubieranie się, szykowanie do wyjścia. Może rozmowa rozładuje trochę atmosferę?

- Mark, opowiedz mi, co działo się z tobą w ciągu tych ostatnich dwóch lat.

- Nadal jestem w Siłach Powietrznych, moja baza macierzysta jest w Charlestonie, w Karolinie Południowej.

- Fakt. Masz przecież na sobie ten mundur. - W którym, jak zawsze, wyglądał imponująco. W tym ciemnoniebieskim paradnym mundurze świecącym medalami. Dowodami męstwa. - Chociaż mogłem już wystąpić z Sił Powietrznych, zachowując prawo do noszenia munduru.

Miał trzydzieści dwa lata. Zaledwie trzy lata starszy od niej.

- Przecież jesteś za młody, Mark, żeby przechodzić na emeryturę. Co się stało? Byłeś ranny?! - Jej palce delikatnie przesunęły się po baretkach na kurtce od munduru wiszącej na oparciu krzesła obok. Wtedy zauważyła Purpurowe Serce, medal, którym odznacza się kogoś, kto odniósł ciężkie rany z rąk wroga. - Mark? Możesz mi opowiedzieć, w jakich okolicznościach zasłużyłeś na ten purpurowy drobiazg?

Nawet nie drgnął. Siedział nieruchomo w wygodnym, wyściełanym fotelu z uszakami. Za nim, w oknie, migotały różnokolorowe światła Las Vegas. Nie musieli unikać okien z obawy, że ktoś nagle zacznie strzelać, byli przecież bardzo wysoko.

Czekała na jego odpowiedź. Cierpliwie i bardzo długo. Kiedy rozwarła dłonie zaciśnięte w pięści, zobaczyła czerwone ślady po paznokciach, które wryły się w skórę.

Delikatnie położyła dłoń na ramieniu Marka.

- Mark? Drgnął.

- Co?! Ach tak... No więc... Zbombardowali nasze baraki. Udało mi się uciec z tego piekła. Przeżyłem, ale inni nie mieli tyle szczęścia.

Jednego członka załogi straciłem, drugi omal nie umarł podczas operacji.

Palce Kim musnęły czerwoną bliznę.

- Byłeś ranny, prawda?

- Tak.

- Trochę niżej i zostałbyś trafiony w szyję ?

- O tym też kiedyś pomyślałem. Rozumiała go bardzo dobrze. Miała za sobą wiele bezsennych nocy, kiedy przewracała się z boku na bok, dręczona jedną myślą: co by było, gdyby...

Podczas tamtej strzelaniny. Gdyby kula nie tylko ją drasnęła. Przecież jej partner wtedy zginął.

- Mark?- Byłeś ranny tylko w twarz?

- Ale jesteś ciekawska! - Wyprostował się, potem pochylił trochę w przód. Nozdrza Kim wyłowiły świeży zapach mydła po niedawnym prysznicu. Ten zapach drażnił i tak rozbudzone jego obecnością zmysły. - Zachowujesz się jak tamci nachalni dziennikarze, Kim!

- A ty chyba zapomniałeś, co to dobre wychowanie. Przecież znasz mnie dobrze i wiesz, że z mojej strony to wcale nie jest tylko głupia ciekawość!

- Jasne. Przepraszam. Dostałem jeszcze odłamkiem szkła. Tutaj. - Klepnął się w pierś dosłownie centymetr od serca. Może nawet bliżej.

Serce Kim uderzyło dziwnie. Jakby wykonało skok. Jeden, potem drugi.

- Mark... ty... ty omal nie straciłeś życia. Mógł zginąć, a ona pewnie nigdy by się o tym nie dowiedziała. Bo i niby kto miałby jej o tym powiedzieć? Poznali się za oceanem, w Cantou, dokąd odkomenderowano Marka. Romansowali, kiedy Mark dostał urlop. Potem zerwali, potem Mark wrócił do Stanów. Nie mieli żadnych wspólnych znajomych.

Mimo to... Gdyby stało się to najgorsze, na pewno by czuła. Kiedyś babka uczyła ją przecież, że dzięki przepływowi energii czy łączą się dusze i świadomość...

A teraz... Teraz nie mogła się powstrzymać. Może była to resztką adrenaliny, pozostałość po tamtym zdarzeniu, kiedy sama otarła się o śmierć. Może nagle wzruszenie, wywołane lakoniczną, beznamiętną relacją z tak tragicznego wydarzenia.

Musiała go dotknąć. Poczuć pod palcami ciepło żywego ciała.

Dłoń Kim spoczęła na piersi Marka tuż nad miejscem, gdzie biło serce, kiedyś omal nie uciszone na zawsze.

- Cieszę się, że wyszedłeś z tego cało. - Uśmiechnął się, jak to on, do połowy.

Czyli szczerze. Nieszczery uśmiech jest zawsze o wiele szerszy. - Wiesz, Mark, ja wiem, jak trudno jest istnieć dalej, kiedy ktoś inny odchodzi na zawsze.

- Ty... wiesz?

- Tak.

Jej kolana zaczęły drżeć. Gorzej, czuła, że uginają się nogi. Chybaby upadła, gdyby Mark jej nie podtrzymał. Jedną ręką objął ją przez plecy i poczekał, aż odzyska równowagę. Potem wcale jej nie puścił, tylko przyciągnął do siebie, bliźniętka, aż do swojej piersi. Oparł brodę o jej wilgotne włosy i westchnął z ulgą, jakby właśnie stało się to, na co czekał bardzo długo.

Widziała tuż przed sobą szeroką, płaską pierś, twarde zarysy bicepsów opiętych rękawami koszuli...

Kolana znów drżały. Nigdy nie była zwolenniczką przypadkowego seksu, ale teraz... teraz chciała Marka. I to bardzo.

Tylko adrenalina. Na pewno. Wzruszenie tą składanką: życie, śmierć, Purpurowe Serce. Trzeba koniecznie pokonać chwilowy zamęt w duszy i ciele.

Wysunęła się z jego objęć. Z żalem na pewno większym niż odrobina żalu, ale musiała zwiększyć odległość od mężczyzny, o którym w ciągu minionych dwóch lat nie przestawała myśleć.

- Jacy my oboje jesteśmy nierozsądni - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Mam mokrą głowę, mogłabym zostawić ślady na twojej eleganckiej koszuli. A tak w ogóle to chyba już powinniśmy iść na tę kolację.

- Tak. Za kilka minut. - Wstał. - Pójdę na chwilę do siebie. Pamiętaj, Kim, jestem w pobliżu. Gdyby coś ci się nie podobało, wystarczy krzyknąć. Aha... I jeszcze coś...

- Co?

- Dziękuję.

Musnął ustami jej usta. Szybko, bardzo delikatnie. I wyszedł, pozostawiając po sobie tylko delikatny zapach wody kolońskiej.

„Dziękuję”. Dziwne.

Za co?

Podczas kolacji Mark ani przez moment nie był w stanie skupić się na rozkoszach podniebienia. Owszem, najpierw konsumował azjatycką przystawkę, roladę nadziewaną warzywami i obtoczoną w jajku, potem zupę, ale myślami był gdzie indziej. Po pierwsze - wcale mu się nie podobało, że przy tym stole nie było krzeseł. Wszyscy siedzieli na poduszkach ułożonych na podłodze, czyli sytuacja bardzo niekorzystna w przypadku nagłego ataku. Po drugie - w uszach nadal dźwięczały słowa

Kim. Jedno króciutkie zdanie, które wstrząsnęło nim bardziej niż wszystko, co powiedziała mu była narzeczona przez cały okres ich narzeczeństwa.

Kim po prostu wiedziała, co czuje człowiek, który przeżył, a jego przyjaciele nie. Skąd wiedziała? Czy miała na myśli swoje doświadczenia z dawnych lat, jeszcze z Cantou? Zamachy, w których często ginęli ludzie pracujący dla rodziny królewskiej?

Zastanawiał się, czy jej o to nie zapytać, doszedł jednak do wniosku, że takie dyskusje wytworzą między nimi jeszcze większą zażyłość, która w obecnej sytuacji byłaby bardzo niewskazana.

Niemniej jednak jakoś nie potrafił przestać o tym myśleć. Kiedy wracał z zagranicy, Carol, jego była narzeczona, nigdy nie powitała go ciepłymi słowami i radosnym uśmiechem. Nie. Natychmiast zaczynało się narzekanie. „Twój tryb życia, Mark, po prostu mnie wykańcza”.

Oczywiście, że ją rozumiał. Przecież to okropne, kiedy człowiek całe tygodnie czy miesiące żyje w nieświadomości, czy bliska mu osoba, którą kocha - a przynajmniej tak mu się wydaje - wróci do domu żywa czy w żelaznej trumnie. Ale on i tak zawsze czekał na coś w stylu twarz zroszona łzami i radosny krzyk:

- Nareszcie! Witaj w domu, kochany!

Coś tak prostego jak zdanie Kim i jej głowa wtulona w jego pierś.

Niestety, to zadanie, wydawałoby się bardzo proste, przestawało mieć cokolwiek wspólnego z prostotą.

W talerzu pokazało się dno. Czyli zupę zjadł. Przez moment pobawił się spinkami od mankietów, potem pociągnął za muszkę. Cisnęła jak diabli, niestety była niezbędna przy tym stroju. Stanowczo wołał mundur

lotnika i czarne skórzane buty, ale co miał robić? W końcu teraz taka była jego praca.

Dlaczego w ogóle zgłosił się do tego zadania? Czy dlatego, że - świadomie czy nieświadomie - chciał zobaczyć się z kobietą, z którą nigdy już żadna inna nie mogła się równać? Łącznie z byłą narzeczoną?

Cholera, chyba w ogóle mu się wiedzie nie najlepiej. O związku z Kim nigdy nie potrafił zapomnieć, a potem narzeczonea uciekła sprzed ołtarza. Może to kwestia munduru? Jego brak sprowadza na niego nieszczęścia. Tamtego wieczoru, w przeddzień ślubu, kiedy ubrany był po cywilnemu, Carol podjęła ostateczną decyzję, że nie wyjdzie za wojskowego, bo nie chciała reszty życia spędzić na czekaniu i zastanawianiu się, czy mąż wróci do domu żywy.

Teraz też nie miał na sobie munduru.

Prawie nie zauważył, kiedy zabrano zupę i podano danie główne, czyli kurczaka z orzeszkami. Dalej nieobecny duchem postukiwał pałeczkami, czekając, aż Kim zostanie obsłużona pierwsza.

Kim, która wyraźnie spochmurniała. Może to kwestia oświetlenia - było tu wyjątkowo oszczędne. Pewnie po to, żeby stworzyć nastrój, a jego to wkurzało. Brak światła - jeszcze jedno ryzyko.

Nagle pochyliła się, jej ramię prawie dotknęło jego ramienia. Usta znalazły się tuż koło jego ucha.

- Ting ma alergię na orzeszki ziemne - wyszeptała prawie bezgłośnie.

Ramię Marka natychmiast objęło plecy Kim, czujny wzrok przemknął po sali.

- Twoja asystentka nie powiedziała im o tym?

- Oczywiście, że powiedziała! Przed wizytą osoby z rodziny królewskiej zawsze przekazuje się tego typu informacje.

Wszystko, co teraz stało na stole, wydawało się Markowi podejrzanym. Nic dziwnego, że w dawnych dobrych czasach na dworach królewskich ktoś próbował potraw, zanim podano je panującemu.

Rozejrzał się jeszcze raz. Wiele osób dopiero kończyło swoją zupę. Nikt nie leżał twarzą w talerzu, czyli jedzenie nie było zatrute.

Jedynym problemem była alergia Ting. Kim nachyliła się do niego jeszcze bliżej, opierając się ręką o jego kolano.

- Jak myślisz, czy oni podejrzewają, że udaję tylko Ting? Chcą mnie sprawdzić, dlatego podali tego kurczaka z orzeszkami. Albo po prostu ktoś chce ją zabić. Liczy na to, że księżniczka zapomni o swojej alergii. Ja w każdym razie nie będę tego jadła.

- Jasne! - Mark przykrył dłonią dłoń Kim, żeby trochę ją uspokoić, i odezwał się podniesionym głosem: - Kelner! Proszę natychmiast zabrać tego kurczaka i poprosić właściciela!

Nie zdążył ponownie odetchnąć, kiedy przy stole pojawił się pan Czang.

- Słucham, proszę pana. Jakiś problem z jedzeniem?

- Problem?! - Mark jeszcze poniósł głos, dając ujście całej frustracji minionych godzin. - Oczywiście! Pański personel dostał przecież wykaz upodobań księżniczki Ting, a także zalecenia medyczne. Konkretnie chodzi o alergię. Pańskie danie z orzeszkami mogłoby zabić następczynię tronu Cantou!

Twarz pana Czanga była bielsza niż biel obrusa.

- Proszę... proszę wybaczyć... - wyjąkał. - Ale ja nic nie wiedziałem o alergii Waszej Wysokości! Przysięgam. Zaraz każę przygotować coś innego. Cokolwiek sobie Jej Wysokość życzy.

Kim wstała.

- Dziękuję, nie ma potrzeby, panie Czang. Straciłam apetyt. Teraz najchętniej poszłabym pograć.

Pan Czang jęknął i załamał rękę.

- Błagam, Wasza Wysokość, proszę pozwolić mi naprawić ten karygodny błąd! Mój szef kuchni jest najlepszy w całym mieście, na pewno usatysfakcjonuje Waszą Wysokość.

Mark musiał w duchu przyznać, że pan Czang wykazuje się wielką odwagą, stawiając opór władczyni. Tak, władczyni, bo tak właśnie wyglądała Kim. Wyprostowana, z głową odrzuconą w tył i płonącym wzrokiem, wyglądała groźniej niż mosiężne smoki na podeście schodów wiodących na piętro. W końcu łaskawie skinęła głową.

- Dobrze. Proszę później kazać przynieść kolację do naszego apartamentu.

Kredowobiałe policzki pana Czanga zaczęły powoli odzyskiwać normalną barwę.

- Dziękuję, bardzo dziękuję, księżniczko Tiang. Jestem nieskończenie wdzięczny. I jeszcze raz proszę wybaczyć to okropne niedopatrzenie...

Tym razem władczyni łaskawie skinęła mu ręką i z uśmiechem odwróciła się do swego towarzysza.

- Mark? Idziemy pograć?

Pograć. Czemu nieć Trochę hazardu, czyli ryzyka. Ryzyko było nieodłącznym elementem jego życia. Taki jest zawód wojskowego.

Ryzyko teraz... Może by tak zaryzykować nie tylko w grze, lecz i na innym polu? Przecież to aż dziwne, że wobec tej kobiety wystrzega się ryzyka jak ognia. Chce jej od samego początku, to jasne, ale za wszelką cenę stara się sobie to wyperswadować. Powód - seks z Kim obniży jego skuteczność jako osobistej ochrony. Co było kompletną bzdurą. Im bliżej będą z sobą, tym mniejsza szansa, że ktoś podejdzie jeszcze bliżej. A po tej historii dwa lata temu nie musiał się martwić, że wynikną z tego jakieś poważne konsekwencje.

A takie... zbliżenie na pewno sprawi im obojgu wielką przyjemność. Co do tego Mark nie miał żadnych wątpliwości.

Położył dłoń na jej talii, dokładnie w miejscu, gdzie była gumka od fig. Na pewno bardzo seksownych, sądząc po tamtych pomarańczowych figach, gdzie atłas został zredukowany do minimum i przede wszystkim były tam prześwitujące koronki.

- Jasne, Kim. Idziemy pograć. Trochę ryzyka nie zaszkodzi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wieczór był długi i intensywny. Zwiedzili kasyno dosłownie od a do zet. Nic dziwnego, że teraz nogi ledwie niosły Kim. Do tego te nogi odziane były w eleganckie pantofle na szpilkach. Kim nigdy dotąd nie myślała tak ciepło o policyjnych butach, zwykle traktowanych z największą pogardą.

Winda miękko osiadła na piętrze penthouse'u. Po raz drugi tego wieczoru, w tym czasie bowiem wpadli na chwilę na górę i zjedli kolację przysланą przez pana Czanga. Bardzo smaczną, ale na delectowanie się nią szkoda było czasu. Skonsumowali błyskawicznie i z powrotem zjechali do kasyna, żeby spenetrować wszystkie jego zakamarki. Udało im się nawet zajrzeć do biura pana Czanga. Niestety, w sprawie śledztwa Kim nie posunęła się nawet na krok do przodu, chociaż jej uwadze nie umknął fakt, że pan Czang w swoim biurze spożywał właśnie kolację - kurczaka z orzeszkami! - z kobietą, która na wycucie Kim na pewno nie była jego żoną. Kto wie, czy ten właśnie fakt kiedyś nie okaże się istotny.

Tak bardzo chciałoby się wygrać zakład z kumpelkami... Czy naprawdę? Jakoś ten zakład nie wydawał jej się już sprawą najwyższej wagi. Im dłużej Kim przebywała w towarzystwie Marka, tym większą miała ochotę na coś całkiem innego. Na pewne radykalne posunięcie.

Jakie? Po prostu stracić kontrolę nad sobą. Zapamiętać się, zapomnieć o wszystkim... Co może okazać o wiele cenniejsze niż wiele tygodni w spa...

Znów byli w penthousie, w swoim apartamencie. Sami. Obstawa rozeszła się na spoczynek, tylko w holu został ktoś na straży. Tu mogli

czuć się w pełni swobodnie. Nie było podsłuchu ani ukrytych kamer, wszystkie pomieszczenia zostały sprawdzone bardzo dokładnie.

Kim po przekroczeniu progu przede wszystkim przystąpiła do pozbywania się przeklętych szpilek. Uczyniła to nader energicznie. Pierwszy pantofel rąbnął o podłogę.

Mark oparł się o ścianę.

- Świetnie sobie radzisz z tą całą królewskością - powiedział z uśmiechem.

Przez sekundę wpatrywała się w pantofel, który trzymała w ręku. Aż wreszcie ją olśniło.

- No popatrz... A ja całkiem zapomniałam, jak to jest, kiedy można rzucać sobie czym popadnie. Ktoś za mnie posprząta.

- Teraz masz asystentkę, Sun.

- Sun? To całkiem coś innego. Kiedyś Kim miała tuzin służących, którzy spełniali wszystkie jej kaprysy. Wcale nietrudno byłoby powrócić do dawnych obyczajów i znów stać się rozpieszczonym dzieckiem.

Kiedyś...

Czuła, że ogarnia ją nastrój zdecydowanie sentymentalny.

Najchętniej poszłaby już do swojego pokoju. W końcu należało jej się trochę samotności i czasu dla siebie.

- Sun jest policjantką, którą odkomenderowano do tego zadania. Jeśli każę jej sprzątać po mnie albo coś w tym rodzaju, wścieknie się, a potem się na mnie odegra.

- Fakt. - Zdjął marynarkę i powiesił na oparciu krzesła, przy okazji demonstrując swoją broń, kaliber .9 mm na skórzanej uprząży. - Kiedy dzwoniłaś do szpitala dowiedzieć się, co z Vincentem i Timem, trochę

pogadałem z tą twoją Sun. Spytałem, czy pamiętała o przekazaniu informacji o twoim uczuleniu na orzeszki. Trzeba było to sprawdzić, a pomyślałem, że będzie mniej urażona, jeśli pytanie wyjdzie ode mnie.

- Dzięki. I co?

- Wydaje się, że jest w porządku.

- Wydaje się?! Przecież to policjantka, moja koleżanka...

- Pokazała mi nawet tę listę twoich preferencji, ale... Mówisz, że to twoja koleżanka. Znasz ją dobrze?

- Szczerze mówiąc, nie za bardzo...

- Zdjęła drugi pantofel i usiadła na sofie.

- Pracuje u nas od niedawna.

- No cóż... Pożyjemy, zobaczymy. Na dziś w każdym razie koniec.

- Chyba tak... - Wstała z sofy, przeszła parę kroków po pokoju, musnęła palcami kilka ozdobnych przedmiotów. - Bardzo dobrze. Tyle dziś się działo. Stanowczo wystarczy jak na jeden dzień. Muszę przyznać, że jestem wykończona.

- Ale chyba nie idziemy jeszcze spać?!

- A co chcesz robić? Masz jakiś pomysł? Jak może spędzać wieczór para dorosłych ludzi, która zatrzymała się na noc w hotelu? Nigdzie tu nie widziała żadnej gry planszowej ani talii kart.

Czym mogą się zająć? Była tylko jedna opcja, o której oczywiście pomyślała. Seks.

Pewnie, że miała na Marka ochotę, ale podczas tak ważnego zadania tego typu odskocznia jest niedopuszczalna. Poza tym ta ich historia sprzed dwóch lat była dla niej ciężkim przeżyciem, wystarczająco ciężkim, żeby

nie życzyć sobie powtórki. Wiadomo przecież było, że na szczęśliwy finał wcale się nie zanosi. Więc po co w ogóle zaczynać?

Psycholog z posterunku powiedział kiedyś Kim, że należy do osób, które wolą zignorować problem, niż się z nim zmierzyć. Ona, oczywiście, patrzyła na to inaczej. W jej odczuciu, owszem, potrafiła zmierzyć się z problemem. Ale musiała mieć jakiś plan.

Tak jak teraz, kiedy krążyła po tym pokoju. Celowo, żeby pozbyć się tej nagłej nerwowości...

- Nie musisz siedzieć ze mną, Mark. Jako moja obstawa jesteś trochę nadgorliwy.

- Po prostu nie chce mi się spać. Po takim dniu też mnie trochę nosi. Chodźmy na taras. Przyda nam się łyk świeżego powietrza.

Nie mógł zaproponować nic lepszego. Świeże powietrze będzie jak balsam na roztrzęsione nerwy po takim dniu. Poza tym na miłym nocnym wiatyku te głupie myśli wywietrzeją jej z głowy.

- Kim? Czy twoi ludzie sprawdzili taras?

- Nie jestem pewna.

Jak za naciśnięciem guzika, w rękę obojga pojawiła się broń. Kim wyciągnęła pistolet spod sukienki. Kiedy zacisnęła palce na chłodnym metalu, natychmiast odzyskała spokój. Znow twardo stąpała po ziemi. Teraz liczyło się tylko jej wyszkolenie, jej praca. Panowała nad rzeczywistością. Tu znała wszystkie zasady.

Mark odsunął zasuwkę i otworzył jedno skrzydło szklanych przesuwanych drzwi. Kim oddychała miarowo, żeby jej serce dostosowało się do tego tempa. Żadnej hiperwentylacji, jaką zaaplikowała sobie tylko raz w życiu. Na ulicy, po tamtej fatalnej strzelaninie. Teraz potrafiła się

opanować, poza tym szansa, że ktoś będzie na tarasie, naprawdę była znikoma. Ale doceniała ostrożność Marka.

Mark z bronią, ona też. Ilu facetów traciło ochotę na randkę z Kim Wong, kiedy dowiedzieli się, w jaki sposób zarabiała na chleb!

A niech to... Kompletny upadek. Nawet w takiej chwili rozmyśla o randkach! Z drugiej strony co się dziwić? O czym można pomyśleć, kiedy w towarzystwie pięknego mężczyzny w mundurze wychodzi się na piękny taras skąpany w księżycowej poświacie? Czy można sobie wymarzyć bardziej romantyczną scenerię? Łóżko wcale nie jest potrzebne...

Kim, skup się w końcu na robocie!

Zlustrowała ogród. Żadnych napastników ani za drzewkami bonzai, ani za sprzętami z bambusa. Cisza, tylko latarnie zawieszane na drucie skrzypiały cicho, poruszane łagodnymi podmuchami wiatru.

Opuściła broń.

- Według mnie teren czysty.

Mark opuszczał broń trochę wolniej niż ona. Wyszedł na taras i położył pistolet na stoliku między dwoma leżakami.

Kim ruszyła za nim po wygrzanej słońcem betonowej posadzce. Podeszła do jednego z leżaków, usiadła wygodnie, wystawiła twarz na podmuchy wiatru - rozkosz w tak duszną noc - i westchnęła z ulgą. Sygnał, że nareszcie jest jej dobrze.

Mark rozsiadł się na drugim leżaku. Jego biała koszula jaśniała w półmroku jak latarnia morska.

- Mam nadzieję, że jutrzejszy dzień będzie spokojniejszy. Żadnych zamachów na twoje życie, księżniczko Ting. Zadrzała.

- Nigdy mnie tak nie nazywaj.

- Przepraszam.

Usiadł jeszcze wygodniej, podkładając ręce pod głowę.

- Powiedz mi, Kim, dlaczego porzuciłaś swój kraj? Dlaczego nie chciałaś już żyć tak... po królewsku? - spytał żartobliwie.

Jednak ona nie miała ochoty do żartów. Mark nie wiedział, że nazywając ją księżniczką, poruszył bardzo czułe struny. Przypomnił o czymś, co w jej życiu oznaczało zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. O tajemnicy, którą nosiła w sobie od wielu lat.

Jak zareagowałby Mark, gdyby dowiedział się prawdy? Dowiedział się, jak bardzo wyrzekła się swojego dziedzictwa?

- Kim!

Pstryknął palcem przed jej nosem, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem, zamrugła.

- Przepraszam. Pytałeś mnie o coś, Mark? Przez moment milczał, zastanawiając się w duchu, czy nie zrezygnować z tej rozmowy, a zabrać się do czegoś o wiele przyjemniejszego. Pocałować ją. Całować do utraty tchu. Pomysł świetny, z jednym tylko zastrzeżeniem: nie wiadomo, jak na gorące pocałunki zareaguje Kim. Może się wkurzyć, a przecież na ten taras wyszli po to, żeby się trochę odprężyć.

- Czy możesz mu powiedzieć, dlaczego wyjechałaś z Cantou.

- Z wielu powodów. W Cantou zapanował chaos. Niby próbuje się wprowadzić tam demokrację, ale tak naprawdę nikt nie jest pewien dnia i nocy. Poza tym nigdy nie lubiłam królewskiego życia. Czasami zastanawiam się, czy przypadkiem jakaś wróżka nie wrzuciła mnie do królewskiej kołyski, zabierając z niej prawdziwą księżniczkę.

- Daj spokój. Nie wyprzesz się swojego pochodzenia. Wystarczy na ciebie spojrzeć.

Nawet teraz, kiedy była na bosaka, z rozpuszczonymi włosami - i tak czuło się w niej błękitną krew.

- Jestem tylko kuzynką. Członkiem rodziny królewskiej.

- Nie szkodzi. Powiedz mi jeszcze, Kim... I ta królewska rodzina bez żadnych oporów pozwoliła ci wyjechać?

Zawsze sądził, że członkowie takich rodów trzymanii są żelazną ręką. Z drugiej jednak strony Kim powiedziała przecieź, że w Cantou panuje chaos.

- Nie mieli wyboru. Jestem dorosła i wolno mi samej decydować o sobie.

- Słyszałem, że często tam jeździsz. Jeśli to prawda, znaczy to, że mimo wszystko czuje się z tym krajem mocno związana. Kto wie, czy pewnego dnia nie zmieni zdania i nie powróci tam na stałe? Szkoda. Ten wariant wcale nie przypadł mu do gustu. Kim w Cantou, ze swoją pozycją, otoczona królewską rodziną... W grę wchodziłby wtedy tylko poważny związek, co dla niego byłoby niewykonalne. Po ostatnim doświadczeniu z Carol wykreślił ze swojego życiorysu wycieczki do ołtarza. Nigdy więcej takich prób.

- Wcale nie tak często. Mniej więcej raz do roku. Kocham moją rodzinę.

- Nawet Ting?

Palce Kim zaczęły nerwowo skubać haft na sukni.

- Ting i ja jesteśmy z sobą mocno związane. Chociaż... - Palce znieruchomiały. - Chociaż... nie powinnyśmy. - Odchrząknęła. - Och,

dajmy temu spokój, Mark. Lepiej idźmy już spać. Jutro musimy być w formie, żeby skoncentrować się na złodziejach diamentów, a nie na sobie nawzajem, prawda?

- Tak, Wasza Wysokość. Wyprostowała się. Jej oczy miały błyskawice.

- Mówiłam, że masz tak do mnie nie mówić! Po co? Jesteśmy przecież sami.

- Ale kiedy patrzę na ciebie, nie potrafię inaczej!

Dziwne. Dlaczego Kim tak to drażnić Czy to znowu taki problem? Kim Wong, amerykańska policjantka, która przypadkiem ma w sobie krew rodziny królewskiej z Cantou. Skoro tak jest, to jest. Po prostu trzeba to zaakceptować.

Nie zamierzał jednak teraz dyskutować. Bał się, że rozzłości ją jeszcze bardziej, a on podjął w duchu pewną decyzję. I zrealizuje swój plan.

Pocałuje ją. Po prostu musi to zrobić. Innej opcji nie ma.

- Kim... Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, nie mogłem oderwać oczu...

- Pamiętam. Na tym rynku. Przekonywałeś moją obstawę, że wpadłeś na mnie niechcący, a jednocześnie cały czas gapiłeś się na mnie. Wcale nie przestraszyłeś się, że wpadłeś na księżniczkę. Po prostu zaprosiłeś mnie na lunch! - Roześmiała się cicho i bardzo słodko.

Nie. Nie potrafił dłużej czekać.

Nachylił się. Jego usta odszukały jej usta.

Truskawki. Jak mógł zapomnieć, że jej błyszczący zawsze smakował jak truskawki? O, teraz na pewno już nigdy o tym nie zapomni! Kiedy

przed kolacją udało mu się pocałować ją przelotnie, była jeszcze nieumalowana, dlatego truskawek nie było. Teraz są, a Mark nabiera coraz większej ochoty przypomnieć sobie, jak smakuje Kim w innych miejscach.

O ile ona na to pozwoli...

Kim, która teraz westchnęła cichutko i musnęła pieszczotliwie palcami jego kark...

Większej zachęty nie potrzebował.

Wsunął palce w czarne gęste włosy, językiem rozsunał smakujące jak truskawki wargi. Pocałunek stawał się coraz bardziej gorący. Tamte chwile, spędzone z Kim dwa lata temu w Cantou, były niezapomniane, teraz jednak wszystko odczuwał wyjątkowo intensywnie. Dlaczego? Może dlatego, że teraz ogólnie było inaczej niż w Cantou. Wtedy miał urlop, czas płynął powoli, a teraz działali na najwyższych obrotach.

Może dlatego, że miał za sobą tamten koszmar. Baraki wylatujące w powietrze...

Może. W każdym razie na pewno był innym człowiekiem niż dwa lata temu. Nauczył się, jak cenne jest życie ludzkie, jak kruche. Jak twarde dla lotników, których uczy się, że są niezwyciężeni.

Objął ją wpół i przyciągnął do siebie. Miękkie ciepłe piersi przywarły do jego klatki.

- Kim... - Delikatnie uszczypnął wargami miękką, ciepłą skórę za jej uchem. - Spij dziś ze mną.

- Prośba czy rozkaz?

- Czy ja mogę cokolwiek ci kazać? Jego ręka, błędząca po miękkim ciele Kim, zatrzymała się tuż pod piersią. Kawaleczek wyżej i mógłby zamknąć na niej palce.

Chwyliła go mocno za nadgarstek, unieruchamiając jego dłoń. Czarne oczy, zwykle tak błyszczące, przesłonięte były mgiełką pożądania. Niestety - tylko na moment. Znowu rozbliły, a to oznaczało powrót do rzeczywistości.

Uśmiechnęła się.

- Tylko spróbuj, a gorzko tego pożałujesz! Też się uśmiechnął prosto do jej wilgotnych, rozchylonych warg.

- W takim razie potraktuj to jako prośbę.

- Mark, nie widzieliśmy się przez dwa lata. Jesteśmy z sobą zaledwie jeden dzień, i to bardzo intensywny, pełen adrenaliny.

- Znamy się bardzo dobrze.

- Znaliśmy się kiedyś, przed dwoma laty, i nie rozstaliśmy się jak para dobrych przyjaciół. Wcale nie ukrywam, Mark, że nadal mi się podobasz, a sądząc po tym pocałunku, ty chyba również... nie czujesz do mnie odrazy. Ale nie powinniśmy poddawać się chwili.

Czyli wylała na niego przysłowiowy kubeł zimnej wody. Zanosilo się na to, że ta noc wcale się nie skończy tak, jak życzyłby sobie Mark.

Chociaż... Chociaż było i coś pozytywnego. Czuł, że wcale nie zatrzęsęła mu drzwi przed nosem.

- Kim, uznaję twoje nie, ale powinnaś przynajmniej rozważyć fakt, że w jednym łóżku ze mną będziesz o wiele bezpieczniejsza.

- Och, Mark! - Roześmiała się. - Ale ty jesteś uparty! Niestety mocno cię rozczaruję. Będę spała w swoim łóżku, a jeśli tak bardzo boisz się o moje bezpieczeństwo, możemy drzwi między naszymi pokojami zostawić otwarte. Z tym że nie zapominaj, kim jestem. Policjantką, a to znaczy, że jeśli zniecka pojawi się moim pokoju, mogę zacząć strzelać.

Kobieta, która potrafi zatroszczyć się o siebie, co w jego oczach wcale nie było wadą. Przeciwnie, Kim podobała mu się jeszcze bardziej.

Wstał, chwycił ją za rękę i zmusił, żeby też wstała. Jeszcze jednego pocałunku na dobranoc nie mógł sobie darować. Wcale nie miał być długi, tylko delikatne muśnięcie, ale truskawkowy błyszczczyk zszedł już z jej warg i poczuł smak samej Kim. I z tego to powodu pocałunek trwał o wiele dłużej.

- Dobranoc, Mark...

- Dobranoc, księżniczko.

Pozwolił jej odejść, choć działał przeciwko sobie. Ale pocieszył się. Ten weekend przecież dopiero się zaczął i wszystko może się jeszcze wydarzyć. Z tym że teraz, oczywiście, całą energię powinni skupić na śledztwie, to jasne. Jutro znów przez cały dzień będą kręcić się jak w ukropie.

Ale potem... Potem może Mark będzie miał okazję zrealizować swoje jak najbardziej prywatne plany...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kim odczuła przebudzenie solo w łóżku jako coś o wiele trudniejszego do przeżycia niż wczorajsza dyskusja. Niełatwo było nie wpuścić Marka do tego łóżka. Naprawdę niełatwo. Pomysł z otwarciem na noc drzwi między ich pokojami właściwie tylko pogorszył sytuację, bo w nocy Kim budziła się co najmniej milion razy. Za każdym razem, kiedy słyszała, jak Mark przewraca się na drugi bok albo kiedy zaczął chrapać. Nie, pochrapywać. Tak sympatycznie, niegłośno.

Przetarła oczy, chwyciła minikomputer leżący koło łóżka i sprawdziła wiadomości. Co my tu mamy? Kilka od bliskich znajomych. I jedna, za to bardzo interesująca, od kapitana Pearsona. Z tą wiadomością należało od razu biec do Marka.

Po umyciu zębów, oczywiście. Warto też się przyczesać.

Zajęło to trzy minuty. Kim pognała do drzwi, przystanąła, obciągnęła T-shirt Dodgersów, dzięki czemu prawie zasłonił kolana, i zastukawszy elegancko w futrynę, zajrzała do pokoju.

Tu spotkało ją wielkie rozczarowanie, bo łóżko było puste.

- Mark?!

- Jestem!

Wyszedł z łazienki. Tylko w ręczniku owiniętym wokół bioder.

Niestety, życie czasami nie pogrywa z nami fair. Bo ta klatka, na przykład. Wspaniałe płaty mięśni, po których spływały kropelki wody. Gdyby Kim nie miała przed sobą całego dnia śledztwa, kto wie, czy by się nie złamała...

Zacisnęła dłonie w pięści, żeby pomóc sobie w opieraniu się pokusie, i wkroczyła do środka pewnym krokiem, jakby ewentualność, że ręcznik może komuś zsunąć się z bioder, wcale jej nie przerażała.

- Dostałam informacje od kapitana Pearsona na temat pana Czanga. Sprawdzili go. Facet niby żyje normalnie, a okazuje się, że ma dwie kochanki i tonie w długach.

- Rozumiem. Przecież ma dwie studnie bez dna.

- Zgadza się. Jedna pani mieszka tu, w apartamencie, druga ma własne mieszkanie w centrum miasta.

- No to pięknie! Czyli jest powód, żeby facetowi przyjrzeć się dokładniej. - Pochylił się nad torbą podróżną i zaczął wyciągać z niej ubranie. Bokserki, spodnie koloru khaki i czarną koszulkę polo.

- Przecież to robimy! Każdy centymetr kwadratowy tego kasyna jest pod obserwacją, łącznie z piwnicami. I nic... - O nie! Chyba nie ma zamiaru ubierać się tutaj, w jej obecności? Wolą nie ryzykować. Odwróciła się szybko od tych jego rąk operujących przy torbie i dopiero wtedy dokończyła swoją wypowiedź. - Pilnowana jest też biżuteria kobiet. Moja też.

- Twoja to imitacja. Sprawdzałem. - Słowom Marka towarzyszył szelest materiału. - Nawet te ozdóbki przy twoim kostiumie, który waży chyba tonę. Tym, który miałaś na sobie wczoraj rano.

Czuła się coraz bardziej nieswojo. Głupio tak było rozmawiać, a jednocześnie podsłuchiwać, jak Mark się ubiera, co wyjątkowo pobudzało wyobraźnię. Nie tylko zresztą podsłuchiwała, bo przed oczyma pojawił się obraz, oczywiście Marka, oczywiście nakładającego bokserki...

- Znam się na biżuterii trochę lepiej niż inni - ciągnął przy akompaniamencie cichutkiego „bzzz” zasuwanego zamka błyskawicznego.
- Oczywiście nie jestem profesjonalistą, ale moja matka robiła biżuterię i sprzedawała ją. Między innymi dzięki temu pasowałem do tego zadania.

Zapadła cisza. Po chwili Kim usłyszała za sobą ciche kroki tłumione przez gruby dywan. Mark podchodził coraz bliżej. Czowała już za plecami jego ciepło.

Odgarnął jej włosy z karku, gorące wargi wycisnęły u nasady jej szyi długi pocałunek.

- Spotykamy się za kilka minut przy śniadaniu, księżniczko.

- Aha...

Cóż za błyskotliwa odpowiedź! Niestety, nic więcej nie mogła z siebie wydusić. Jej rozszalałe hormony kompletnie otumaniły mózg.

Bez słowa wyszła z pokoju, zatrzymała się na środku saloniku i nie odwracając się, czekała, aż Mark do niej dołączy. Stała tak nieruchomo przez kilka chwil. Póki jej coś nie tknęło. Bo ta cisza. Czyżby on...

Tak. Poszedł. Nigdy się nie dowiedziała, czy kompletnie ubrany. Czy nie.

Po śniadaniu rozpoczęto realizację planu dnia. Dnia wypełnionego co do mikrosekundy i Mark zaczynał rozumieć, dlaczego osoby panujące podobno wcześniej się starzeją. Już teraz najchętniej znikłby wszystkim z oczu i ukrył się, najlepiej w jakiejś głębokiej pieczarze. Miał serdecznie dość, że rządzi nim rozkład dnia. Tak samo miał dość reporterów, asystentki, ochroniarzy i tych wszystkich, którzy płaszczyli się przed księżniczką Ting.

Czyli Kim.

Ale przynajmniej następny punkt programu dawał cię nadziei na odrobinę prywatności... Spojrzał tęsknie na strumień wijący się przez kasyno. Można było nawet popływać łódką. Oczywiście wszystko było sztuczne, jak w parku rozrywki, niemniej jednak przejechać się łódką warto, przynajmniej będzie okazja pobyć przez chwilę sam na sam z Kim. Chociaż nie, na pewno towarzyszyć im będzie asystentka Sun. Ta dziewczyna jest bardzo przejęta swoją rolą. Chyba za bardzo. Po prostu wyłazi ze skóry, żeby Kim nie miała ani minuty wolnego czasu. Czyżby otrzymała jakieś dodatkowe polecenia? Jeśli tak, to od kogo? Od pana Czanga z dwoma kochankami?

Kto wie. W końcu kradzione diamenty miały być przekazane w jego kasynie...

No proszę, oto nadciąga pan Czang we własnej osobie. Jak zwykle w lansadach podszedł do Kim i spojrzał na nią po prostu łakomie.

- Wasza Wysokość, pozwolę sobie zauważyć, że wygląda pani dziś wyjątkowo pięknie!

- Dziękuję, panie Czang, radzę jednak powstrzymać się od komplementów. Mojemu przyjacielowi może się to nie spodobać, a mój przyjaciel, panie Czang, to stuprocentowy mężczyzna.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość. Pozwolę więc sobie tylko jeszcze spytać, czy wczorajsza kolacja, którą kazałem zanieść do penthouse'u, zaspokoila gust państwa?

Łaskawie skinęła głową.

- Jedzenie było bardzo smaczne i wykwintne. Szef pańskiej kuchni przeszedł samego siebie.

- Przekażę mu to, będzie zachwycony. Jeszcze raz bardzo dziękuję za możliwość naprawienia karygodnego błędu. A teraz życzę państwu miłej romantycznej przejażdżki. Mam nadzieję, że Wasza Wysokość opowie swojej szanownej babce o naszych skromnych progach i w przyszłości, kiedy szanowna babka Waszej Wysokości wybierze się do Stanów, będziemy mieli okazję powitać ją w naszym kasynie.

- Naturalnie. Wszystko jej opowiem. Babka... świetnie. Mark odszukał wzrokiem asystentkę.

- Sun! Może poprosisz pana Czanga o przepisy na te wspaniałe potrawy, którymi uraczono nas wczoraj wieczorem? Prześlemy je babce księżniczki Ting. Na pewno zrobimy jej tym przyjemność.

Super. Asystentka spławiona. Będzie okazja swobodnie pogadać o śledztwie. Zadowolony Mark ruszył z Kim do łodzi. Niestety, czekało go gorzkie rozczarowanie w osobie pracownika kasyna przebranego za wiosłarza. Czyli o słodkiej chwili sam na sam nie ma co marzyć.

Trudno. Mark pomógł Kim ulokować się na ławce i usiadł obok. Łódka była nieduża, wąska, podobna do kanoe. Na dziobie wyrzeźbiona głowa tygrysa, zwrócona twarzą do przodu.

Ruszyli. Człowiek w kostiumie udawał gorliwie, że wiosłuje, choć łódka posuwała się do przodu po specjalnej szynie ukrytej w wodzie.

- Czyli, jak się okazało, lubisz prawdziwych facetów, Kim?

Uśmiechnęła się.

- W towarzystwie kobiety z moją pozycją przeciętny facet nie czuje się komfortowo.

Oczywiście. Policjantka. Księżniczka. Dla faceta niezłe wyzwanie.

Czyli Kim umiejscowiła go wysoko ponad przeciętną. Czyżby to była zachęta?

Nachylił się i musnął wargami pokryte błyszczącym usta. Truskawki, oczywiście. Cudownie. Zaczynał być od nich uzależniony.

Dwa lata temu uważał, że Kim jest nadzwyczajną osobą, teraz już wiedział, że ta kobieta rozpala jego zmysły jak żadna inna. O byłej narzeczonej nie wspominał. Od samego muśnięcia kręci mu się w głowie. Ma wrażenie, że łódka się przechyla...

Do cholery! To prawda!

Łódka położyła się na boku. On i Kim wylądowali w lodowatej wodzie na wprawionej w ruch szynie.

- Daj spokój! Przecież nic mi nie jest! - protestowała głośno Kim, robiąc unik, kiedy pół godziny potem, już po powrocie do apartamentu, Mark koniecznie chciał sprawdzić, czy nie została ranna.

Woda w sztucznym strumieniu nie była głęboka, zaledwie do kolan, ale dodatkową atrakcją było zaklinowanie się między łodzią a brzegiem. Z tego to powodu oboje byli przemoczeni do suchej nitki.

Pan Czang był przerażony.

Obstawa z bronią gotową do strzału natychmiast otoczyła Kim.

Wyglądała jak ociekający wodą szczeniak. Szczeniak dalmatyńczyka, biorąc pod uwagę liczne siniaki. Paparazzi szaleli, flesze błyskały. Bez wątplenia zdjęcia Kim dotrą na posterunek. Kumple nie dadzą jej spokoju, to pewne.

Kim i Sun zgodnie doszły do wniosku, że nie był to zamach na życie. Realne zagrożenie nie istniało. Chodziło raczej o upokorzenie.

Mark ponownie wyciągnął ręce, ona ponownie zrobiła unik.

- Powiedziałam - nie! I zdania nie zmieniałam!

- Masz potłuczoną rękę. Trzeba sprawdzić, czy nie jest złamana.

- Przysięgam, że jest w porządku! - Pochyliła się, przemknęła pod jego łokciem i pobiegła do swojego pokoju. - Jeśli cokolwiek zostało naruszone, to moja duma! - zawołała, zatrzymując się przed szafą.

- Jest tak samo poobijana jak mój tyłek.

- Wrzuciła buty do szafy i objęła się mocno ramionami. Dygotała na całym ciele. I znów wrzasnęła: - Trzeba kazać im wyłączyć tę cholerną klimatyzację!

Niepotrzebnie tak krzyczała, bo kiedy odwróciła się, Mark stał tuż za nią. Nie tylko stał. Porwał ją na ręce.

- Mark, co ty wyrabiasz!

Niestety, kategorię „Puść mnie!” jakoś nie chciało przejść przez gardło. Cudownie ciepłe i wygodne ramiona wykluczały jakikolwiek zdecydowany opór.

Przeniósł ją przez salonik, przez swój pokój i wkroczył do łazienki.

Do łazienki? Och, nie. Stanowczo powinna zaprotestować. Ale w jej głowie był taki rozkoszny zamęt...

Postawił ją na podłodze i odkręcił prysznic. Szum wody sprawił, że Kim trochę jakby się otrząsnęła. W każdym razie odzyskała mowę.

- Mark! Nie wiem, czy wykazujemy się zdrowym rozsądkiem.

- Raczej nie.

- Ale muszę ci się przyznać, że mam już dość podejmowania wyłącznie rozsądnych decyzji...

- Świetnie. To właśnie chciałem usłyszeć. Bo tak czy siak, ty decydujesz. Pytanie brzmi: bierzemy razem prysznic? Nie ukrywam, że mam na to wielką ochotę. Ale jeśli nie, to nie.

W jego oczach było pożądanie. Jasne. Ale nie rzucał się na nią. Czekał, bo to powinna być jej decyzja.

Jednak myślenie nadal było dla niej procesem niełatwym. No, może nie aż tak. Po prostu nie było się nad czym zastanawiać. Była przecież jak najbardziej za. Za kilkoma rozkosznymi chwilami całkowitej prywatności. Tylko z Markiem...

- Tak... - szepnęła i jej niecierpliwe ręce natychmiast zaczęły podsuwać do góry wilgotną, czarną koszulkę polo, odsłaniając szeroką pierś, którą dziś rano tak okropnie chciała dotknąć.

Ręka Marka, również niecierpliwa, na moment skryła się za jej plecami. Rozpiął zamek w sukni, cienki jedwab sfrunął na podłogę.

- Och, księżniczko... Inna twoja decyzja, którą podjęłaś dziś rano, też była bardzo słuszna. Chodzi o bieliznę...

Biustonosz i stringi z koronki w kolorze szmaragdowym. Jak na człowieka, któremu podobno bardzo się spodobały, pozbył się ich z ciała Kim wyjątkowo szybko. Równie szybko ogołocił się ze spodni i bokserek.

Kompletnie nadzy stanęli w strugach gorącej wody.

Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek przeżywała równie cudowne chwile. Nie wiedziała, co było bardziej gorące. Czy woda, czy skóra Marka pod jej palcami, czy jego pieszczoty...

Pieszczoty cudowne, ale nie powinny trwać zbyt długo. Tyle się naczekali. Dwa lata. Następnym razem nie będą musieli się śpieszyć. Ale teraz...

- Mark! Ja chcę już!

- O! Czy to rozkaz? W tym przypadku absolutnie akceptuję.

Sięgnął po spodnie, wyjął z kieszeni portfel, z portfela mały pakiecik. Kim wyjęła mu go z rąk i po chwili umieściła zawartość na właściwym miejscu. Wtedy Mark wparł ją plecami w ścianę kabiny prysznic. Podniosła nogę, założyła na jego biodro. Mark chwycił drugą jej nogę, podsunął Kim w górę i założył sobie jej nogę za plecy.

Nareszcie. Ich śliskie, mokre ciała zaczęły poruszać się rytmicznie, usta wyszeptywały gorączkowo całą litanię czułych słów i zaklęć...

Cicho, cichutko.

Gdyby Kim zaczęła krzyczeć, nawet z tak miłego powodu, i na co miała wielką ochotę, w sekundę mieliby tu na karku całą obstawę.

Już po wszystkim. Kim zwiotczała, nogi zsunęły się, ale nadal obejmowali się mocno, dzięki temu nie klapnęła na posadzkę. Tuliła się do Marka, wciąż oszołomiona i wykończona, upajając się jeszcze jedną chwilą pełnego szczęścia.

Zanim wyjawi mu prawdę. Prawdę, która może zmienić wszystko.

- Rozumiesz, że to zmienia wszystko, Kim.

Mark podał jej duży puszysty szlafrok. Zrobił to, mimo że ów przeklęty szlafrok za moment miał pozbawić go tak cudownego widoku.

Z drugiej strony może to i lepiej. Cudowny widok rozpraszał. Nie pozwalał zebrać myśli, a przecież nadeszła pora na poważną, osobistą rozmowę. Jedyna okazja, jutro przecież od samego rana zajmą się śledztwem.

- Wiem. Stało się. I było... było cudownie, Mark.

Było. Właśnie tak. Pod tym względem nie dzieliła ich żadna różnica zdań. I dobrze, że Kim to powiedziała. Potrzebował tego, sam nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo.

Nie, nie powiedziała. Wyjąkała.

- Cudownie, oczywiście... ale, Kim, czy to cię przeraża? - spytał, wciągając spodnie od dresu.

Westchnęła i szczerzej otuliła się szlafrokiem.

- Utrata panowania nad sobą zawsze budzi lęk.

- W tej sytuacji? Przy mnie? Kim! - Przyciągnął ją do siebie i posadził na kolanach. - Powiedz mi, czy ma to jakiś związek z blizną na twoim ramieniu?

Jej głowa znikła pod jego brodę.

- Tamta kula tylko mnie drasnęła... Trafiała mojego partnera. Nie przeżył.

Jeszcze mocniej zacisnął wokół niej ramiona. A więc to tak...

- Kim, wiem doskonale, co czujesz. Podobny koszmar przeżyłem w Rubistanie. Potem, to było rok temu, pewna dziewczyna zerwała ze mną zaręczyny. Powiedziała, że takie życie ją wykończy. Życie z kimś, kto ma takie życie jak ja, jak ty. Oboje wiemy, że potrafi być wyjątkowo paskudne. Wiemy też i to, że same słowa niczego nie zmieniają. Ale wiemy również, jak ważne jest to, żeby nie być samemu. Mieć kogoś, kto jest z tobą. I dla ciebie.

Nie odpowiedziała. Jediną oznaką, że usłyszała, było leciutkie pociągnięcie nosem. Wystarczyło, był to przecież też znak, że zrozumiała, o co mu chodzi.

Poza tym było cudownie. Obejmował ją i sam był obejmowany. I to bardzo mocno.

Jednak do czasu, bo po chwili odsunęła się od niego, zajrzała mu głęboko w oczy i pogłaskała zeszpecony blizną policzek. Był pewien, że Kim teraz się uśmiechnie. Ciepłutko.

Ale nie. Minę miała wyjątkowo ponurą.

- Jest jeden problem, Mark.

- Problem? - Oczywiście! Jakiś problem zawsze musi być. Tylko że on, idiota, jakoś o tym zapomniał. - Trudno. Jeśli miała być to tylko przygoda na jedną noc, powiedz od razu. Nie chcę powtórki. Tamta dziewczyna wygarnęła mi wszystko dosłownie w ostatniej chwili, na dzień przed ślubem.

Kim westchnęła. Zsunęła się z jego kolan i westchnęła jeszcze raz.

- Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż myślisz, Mark.

- Mało co w życiu jest proste.

- Ale to naprawdę jest coś bardzo istotnego. Chodzi o mnie i o...

Ting. Jesteśmy bardzo do siebie podobne. Kiedy byliśmy małe, oszukiwałyśmy innych.

- Coś jak królewicz i żebrak?

- Z tym, że zamiast żebraka była kuzynka, która nie miała takiej władzy i tyle pieniędzy co księżniczka Ting.

- Mówiłaś, że dla ciebie nie miało to żadnego znaczenia.

- Nie. Ale... - Zaczęła nerwowo spacerować po pokoju. -

Wychowywali nas dziadkowie. Nasi rodzice zginęli tragicznie, kiedy miałyśmy po dziesięć lat. Przysypała ich lawina podczas wyprawy na narty.

- Bardzo ci współczuję. Teraz rozumiem, dlaczego stamtąd wyjechałaś. Z tamtym krajem łączą cię bardzo smutne wspomnienia.

- Zawsze chciałam stamtąd wyjechać, ale moja kuzynka nie. Ona kocha klejnoty, cały ten królewski blichtr, a przede wszystkim pieniądze.

- W takim razie dobrze, że każda z was jest tym, kim jest.

Czyżby...

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Jej twarz uległa nagle całkowitej metamorfozie. Ponura mina znikła. Głowa uniosła się wyżej, oczy rozbłysły. Teraz była to twarz pełna powagi i dumy. Twarz władczyni.

Wtedy dotarło. Oczywiście - szok. Choć jednocześnie trudno mu było uwierzyć, że sam wcześniej na to nie wpadł.

- Księżniczka Ting!

- Tak.

- Kiedy zamieniłyście się miejscami?

- Kiedy miałyśmy po piętnaście lat. Wtedy postanowiłam ostatecznie, że przestanę być księżniczką Ting i zostanę królewską kuzynką. Nigdy tego nie żałowałam.

Mark głęboko odetchnął, uświadamiając sobie pewien istotny fakt. Zamieniły się rolami jako nastolatki, więc przed dwoma laty zakochał się w prawdziwej księżniczce.

Wpadł po uszy i nadal ją kochał. Księżniczkę Ting...

Nagle poderwali głowy.

Coś stuknęło, chyba w sypialni Kim. Czyżby ktoś się włamał?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- O cholera - szepnęła. - Zostawiłam broń w pokoju...

Mark pobiegł do łazienki i chwycił swój pistolet, który leżał na umywalce.

- Stań za mną - szepnął. - Ubezpieczasz tyły.

- Okej, jestem za tobą.

To dobrze, że wierzył w jej możliwości. Wcale nie kazał schować się w szafie czy pod łóżkiem. Chociaż wiadomo, nawet gdyby kazał, nie zostawiłaby go samego. Nie było takiej możliwości. Zbyt wiele dla niej znaczył.

Czy właśnie dlatego odeszła od niego?

Z tego strachu. Bała się, że kiedyś ktoś do niego strzeli, tak jak się strzela do członków rodziny królewskiej... A przecież do niego i tak strzelają, jest wojskowym... Och, nie. Wszystko jej się kręci...

Mark z bronią gotową do strzału ostrożnie uchylił drzwi. Rozejrzał się uważnie po saloniku i potrząsnął przecząco głową. Nikogo nie było.

Serce Kim biło jak oszalałe. Rozsadzało jej uszy, zagłuszając skutecznie inne dźwięki. Teraz, w chwili krytycznej - co było niedopuszczalne. Kiedy nie wolno się rozklejać, nie wolno dopuścić, żeby wspomnienie tamtego fatalnego starcia, wspomnienie śmierci partnera paraliżowało jej zdolność działania.

Zebrała się w garść. Dotknęła ramienia Marka i wskazała ręką na drzwi do swojej sypialni. Wyraźnie uchylone, a więc tam prawdopodobnie był intruz. Wybrał ten pokój, bo jego celem była Kim.

Mark skinął głową i zaczął posuwać się bezszelestnie do drzwi. Gruby dywan skutecznie tłumił kroki. Kim szła za nim, wściekając się w duchu, że nie ma przy sobie broni. Gdyby miała, mogłaby wejść do pokoju przez drugie drzwi, z korytarza. Dzięki temu złapaliby intruza w pułapkę.

Pobożne życzenia. Nie pierwsze, nie ostatnie. Kiedyś chciała wyznać Markowi, że jest prawdziwą księżniczką. Nosiła się z tym jak kura z jajkiem. I nic. Nie powiedziała. Tak samo teraz. Tak bardzo chciała usłyszeć, co sądzi o tej rewelacji, którą usłyszał przed chwilą. Czy odsunie się od niej? Teraz, po tych cudownych wspólnych chwilach? Nie będzie chciał być z prawdziwą księżniczką. Bo chociaż ona uciekła z Cantou, odium królewskośći i tak spada na nią. I tak zaważy na jej życiu...

Otworzył szeroko drzwi. Na moment znieruchomieli.

- Kim, to tyć

Głos dobiegał z głębi sypialni. Głos Sun. Kim odetchnęła.

- Sun! - Szybkim krokiem minęła Marka i weszła do sypialni. - Ale mnie wystraszyłaś! W ogóle nie słyszałam, jak tu weszłaś!

Sun stała koło wielkiego łóżka. W wyciągniętych rękach trzymała dwa pudła, na wierzchu leżał jej notes.

- Przepraszam, Kim, ale znikliście na tak długo, że zaczęłam się niepokoić. Bal maskowy zaraz się zaczyna, a ty i Mark nie odebraliście swoich kostiumów.

Spojrzenie Sun - trudno było nie zauważyć, że pełne ciekawości - przemknęło po szlafroku Kim i spodniach od dresu, jedynej sztuce garderoby na Marku.

- Dzięki, Sun! - Mark wszedł do pokoju i odebrał pudła. -

Musieliśmy omówić pewne sprawy dotyczące śledztwa. Super, że przyniosłaś te kostiumy. Zaraz się przebierzemy i schodzimy na dół.

Kim, tłumiąc śmiech, podała asystentce jej notes, a sama wzięła pudło z wierzchu, w którym był jej kostium.

- Sun, kontaktowałaś się z posterunkiem?

- Niestety nie odzywali się. Wygląda na to, że jesteśmy zdani tylko na siebie.

- Trudno, niech tak będzie. Za co przebierasz się dziś wieczorem?

- Za barmankę.

- Świetnie. W takim razie jeszcze raz dzięki. Spotkamy się na balu. - Odprowadziła ją do drzwi, zamknęła je i oparłszy się o futrynę, zadumała się głęboko. - Dziwne... - mruknęła po chwili. - Jak myślisz, Mark, czy to przypadek, że właśnie Sun zastaliśmy w moim pokoju?

Bezradnie rozłożył ręce.

- Nie wiem, ale sama się nad tym zastanów. Znasz ją lepiej ode mnie.

- Lepiej? Mówiłam ci już, że jest nowa. Prawie jej nie znam.

Czyli wątpliwości. Właśnie teraz, kiedy za chwilę mają zejść na dół, gdzie odbędzie się wielka gala. Niestety - bal maskowy, czyli praktycznie każdy mógł tam się pojawić.

Bała się. Ona, policjantka, która na ulicy nie drżała przed żadnym bandziorem, bała się... o Marka. Bała się, że podczas tego głupiego balu jego życie będzie narażone na niebezpieczeństwo.

Bała się oddać mu serce. Była przecież prawdziwą księżniczką, a to nie fair obciążać czymś takim partnera. Bała się, że człowiek, którego kocha, może przez nią zginąć z ręki zamachowców. Albo zabierze go

lawina. Lepiej nie wiązać się z nikim i całkowicie poświęcić pracy. Wtedy życie jest o wiele prostsze.

Czyli nie zmieniła się. Tak samo myślała dwa lata temu. W sumie niewiele się różni od tej jego nic niewartej narzeczonej, która porzuciła go rok temu.

Ale jak człowiek ma się nie bać o kogoś, kogo kochać

Mark nie lubił się przebierać. Wiedział, że koledzy przewalili go złośliwie Dżokerem, bo uważali, że jest całkowicie pozbawiony poczucia humoru. Dobrze, niech tak będzie. Jest ponurakiem i wcale nie jest zachwycony, że kazano mu przebrać się za Zorro. Zorro, którego trzymała pod rękę prześliczna królowna z bajki w różowej sukni.

Kim.

Delikatnie pogłaskał ją po rękę. Stali już ponad dwie godziny w tym długim rzędzie VIP-ów. Stali jak dwa wazony i w niczym nie przysłużyło się to ich śledztwu.

Teraz musiał zrobić krok w tył, ponieważ kelner wymownym gestem dał mu do zrozumienia, że nie może przejechać swoim kelnerskim wózkiem.

Dobrze, niech jedzie. Mark cofnął się, wciągając głęboko w nozdrza smakowite zapachy. Kiszki natychmiast zagrały marsza. Spokojnie, zaraz się napełnią, o ile znowu nie podadzą kurczaka z orzeszkami.

Bardzo chciał pogadać z Kim, wyjaśnić wszystko do końca, niestety rozmowa została przerwana nagłym pojawieniem się Sun. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Mark przysięgł sobie, że do poważnej rozmowy dojdzie. Koniec z uciekaniem przed związkiem. Po powrocie do macierzystej bazy w Charlestonie w Karolinie Południowej wystąpi o

przeniesienie do Las Vegas. Będzie blisko Kim i w końcu zdobędzie ją naprawdę. Nie będzie się śpieszył. Należy działać powoli, ale skutecznie. Po tym, co wydarzyło się wczoraj, klamka zapadła.

Nachylił się, żeby pogłaskać ją po ramieniu.

Palce trafiły w próżnię. Kim poszła sobie. Do cholery, dokąd? Zawołał ją, raz, drugi, w ostatniej sekundzie przypominając sobie, żeby używać imienia Ting.

Jej prawdziwego imienia.

Rozejrzył się po sali. Ani śladu Kim. Jak mogła tak odejść bez słowa?!

Zaczął szukać jej w tłumie. Szukać Kim - tak, ona zawsze dla niego będzie Kim. Rozglądał się za królewną z bajki, królewną w różowej sukni. Wyławiał wzrokiem wszystkie kobiece kostiumy. Przy okazji zlokalizował transwestytę - tak, to ten gliniarz, którego widział wczoraj na posterunku.

Ani śladu Kim.

Nie. Tam! W drzwiach mignęła suta spódnica. Znajoma sylwetka, czarne włosy upięte wysoko, owal twarzy...

Kim?

Nie. Ta królewna ubrana jest na niebiesko. A suknia Kim - trudno, żeby tego nie pamiętał - miała kolor różowy.

- Gdzie twoja suknia?!

Jaka suknia? Złowrogi szept odbijał się echem w głowie Kim obolałej po uderzeniu kolbą, jakim poczęstowała ją kobieta pirat.

Jednocześnie płuca zżerał intensywny zapach amoniaku. Ktoś niedawno musiał przetrzeć mopem te posadzkę...

A więc stało się to, czego się obawiała. Bal maskowy to wspaniała okazja dla nieproszonych gości. Jak widać, ktoś z tej okazji skorzystał. Sytuacja wcale nie była łatwa. Była patowa. Jedyne, co Kim mogła teraz zrobić, to odczekać. Jeszcze nie pora rwać się do walki, kiedy rękę ma się wykręconą w tył, a w bok wbitą lufę.

Kelner poprosił Marka, żeby się cofnął. Ta kobieta tylko na to czekała.

Jak to się stało, że wykrywacze metalu nie wykryły jej broni? Miała swojego człowieka w ochronie? Albo też i na odwrót - pracowała dla księżniczki Ting. Stąd ten przesadnie zachrypnięty szept. Żeby zamaskować prawdziwy głos.

Poza tym Kim jakoś dziwnie była przekonana, że jej asystentka Sun wcale nie przebrała się za barmankę.

Naturalnie z tym nie wolno się teraz zdradzić. Oznaczałoby to wyrok śmierci. Skoro nie zawahali się sprzątnąć informatora...

Trzeba to rozegrać inteligentnie. Przede wszystkim - spokój.

- Jaka suknia? - spytała.

Kobieta pirat nie udzieliła natychmiastowej odpowiedzi. Wykręciła jej rękę jeszcze mocniej, podciągając dłoń aż do łopatek. Potem, popychając Kim, zmusiła ją, żeby zaczęła schodzić po schodach.

Starając się zyskać na czasie, robiła to jak najwolniej.

- Ta, którą miałaś na sobie pierwszego dnia - wyszeptała ochryple piratka.

- Ta? Schowałam ją do pudła, pewnie pokojówka zabrała ją do prania. Poza tym była rozdarta - wyjaśniła Kim, rozważając jednocześnie w duchu możliwości ucieczki. Gdyby udało jej się wyrwać tej piratce,

może dałaby radę sięgnąć po pistolet przytroczony do nogi. Chociaż nie wiadomo. Ta szeroka, marszczona spódnica bardzo krępowała ruchy...

Czyli jeszcze odczekać. Na pewno zauważono już jej nieobecność. Przeszukują całe piętro i toalety. Ile czasu minie, zanim zaczną sprawdzać klatki schodowe?

W tej kobiecie przebranej za pirata wyczuwała strach. Oby tak było. Człowiek, który się boi, łatwo wpada w panikę i popełnia błąd.

- Moi ludzie sprawdzili już tę suknię - wychrypiała piratka. -

Wszystkie ozdoby są fałszywe, zwykłe szkiełka i cyna.

- Oczywiście!

A czego wyście się spodziewali, dranie? Gdzieś w górze skrzypnęły drzwi i na klatkę schodową wylały się odgłosy kasyna.

Nadzieje Kim wzrosły, ale obawy też. Ten, kto teraz wejdzie na schody, naraża się na wielkie niebezpieczeństwo.

Dziwne jednak, że ta lufa wcale nie odkleja się od jej boku.

- Gdzie prawdziwa suknia?!

Pytanie to wcale nie zostało zadane ochrypłym szeptem, lecz dźwięcznym, wysokim głosem. Głosem, którego Kim absolutnie nie spodziewała się teraz usłyszeć.

Głosem swojej kuzynki.

Obejrzała się i ujrzała coś, w co naprawdę trudno było uwierzyć.

Jej kuzynka właśnie pokonywała ostatnie stopnie.

Zerwała z twarzy maskę, to samo zrobiła Kim. I było tak jak zawsze, oczywiście. Jakby spojrziała w lustro. Jedyna różnica polegała na tym, że jej lustrzane odbicie miało suknię niebieską zamiast różowej.

Wzrok kuzynki płonął.

- Chcę swoją kasę. Lepiej dla ciebie, jak oddasz dobrowolnie. Sun! - Gniewne spojrzenie przeniosło się na piratkę. - Dowiedziałaś się już czegoś?

No proszę. Droga kuzynka bardzo szybko zrezygnowała z kamuflażu. Pewnie niełatwo robić z nią lewe interesy.

Sun normalnym już głosem przekazała informacje. Scooter załatwiony. Akcja z limuzyną nie powiodła się.

Ręka Sun drżała, tak samo głos. Była bliska paniki.

- Ona jest sprytna, uważaj. Może sama z niej coś wyciągniesz?

- Czemu nie?

Kuzynka cisnęła maskę na podłogę i wycelowała pistolet w Kim.

- Tylko się nie dziw - wycodziła. - Bycie księżniczką czasami nie popłaca. Musiałam zrobić coś, co pozwoli mi utrzymać się na dotychczasowym poziomie, jasne?

Kim tymczasem szybko poukładała sobie w głowie nieoczekiwany bieg wypadków. Przerzut kradzionych diamentów, punkt przesyłowy w kasynie, w którym nagle pojawia się kuzynka...

- Nie wierzę... Jak mogłaś coś takiego zrobić naszej babce!

Co teraz? Chwycić za broń? Zrobić unik?-

Jednak w obu przypadkach musiałaby stawić czoło dwóm uzbrojonym osobom. Szkoda, że nie ma tylko jednej. Jasne, że kuzynki. Skopałaby tej idiotce tyłek do czerwoności, jak kiedyś, jeszcze w czasach szkolnych, kiedy pożały się o chłopaka.

- Mogłam. Nasza babka uważa, że powinnyśmy bardzo ograniczyć nasze wydatki. Jej zdaniem nadszedł czas na demokrację i trzeba obniżyć

loty. Tyle że mi to się wcale nie podoba. Nie zamierzam z niczego rezygnować.

A Kim chciało się teraz po prostu płakać. Co ona narobiła! Gdyby nie jej głupia, egoistyczna ucieczka z kraju, nigdy by do tego nie doszło...

Policyjny psycholog miał rację. Potrafiła tylko uciekać przed problemami. Uciekła przed obowiązkami księżniczki, teraz ucieka przed uczuciem do Marka.

Ma tak uciekać do końca życia? Niby po co? Bez sensu. Niestety ta prawda dotarła do niej trochę późno, bo od śmierci dzieliły ją już być może tylko sekundy, sądząc po bezlitosnym spojrzeniu kuzynki.

Nie. Kim nie ma najmniejszego zamiaru teraz właśnie zamykać oczu na zawsze.

Kiedy Mark jeszcze nic nie wie. Nie wie o jej miłości...

Szukają sukni. Której? Tyle ich miała na sobie... Nagle ją olśniło. Na pewno chodzi o tę pierwszą suknię, strój narodowy, który miała na sobie, jadąc limuzyną. Podczas gorączkowej akcji Mark podarł go prawie na strzępy. Kim spakowała je do pudła, a Pearsonowi jakimś cudem udało się zdobyć dla niej nową suknię.

Ta pierwsza suknia leży sobie gdzieś na posterunku.

Sun wysłano do kasyna wcześniej, już w piątek rano, jeszcze przed odprawą, dlatego nie miała pojęcia, co stało się z tą pierwszą suknią.

Kim musi się uwolnić. Trzeba przede wszystkim jak najszybciej powiadomić kapitana Pearsona, że drogocenne kamienie przy zmaltretowanej sukni, spoczywającej w pudle na posterunku, są naprawdę drogocenne, tak samo jak reszta ozdób jest z prawdziwego złota i srebra.

A jeśli umrze tutaj... Co dalej będzie? Jej kuzynka może z łatwością oszukać wszystkich i zająć jej miejsce. Z tym nie będzie miała żadnych trudności.

Nie wolno do tego dopuścić. Coś trzeba natychmiast zrobić, tym bardziej że Sun w każdej chwili może domyślić się, o którą suknię chodzi.

Drzwi na górze znów się otwarły, wpuszczając snop światła na mroczne schody.

Lufa pistoletu kuzynki natychmiast skierowała się w górę.

Prosto w...

- Mark! - krzyknęła przeraźliwie Kim, jednym desperackim ruchem uwalniając się z rąk Sun.

Za późno. Padł strzał.

Nie było czasu sięgać po broń. Rzuciła się na kuzynkę. Mark jednocześnie rzucił się na kobietę pirata, przygważdżając postrach mórza i oceanów do podłogi. Zrobił to bardzo szybko i sprawnie.

Ale to jeszcze nie dowód, że nie jest ranny!

Kim walnęła kuzynkę w rękę, w której trzymała broń. Drugi cios kuzynka otrzymała otwartą dłońią prosto w nos. Trysnęła krew. Kuzynka pisnęła, zaczęła rękoma bić powietrze. A Kim, wśród łopotu tafty i wrzasków, posłała najdroższą kuzynkę tam, gdzie należało. Na glebę. Czyli na podłogę.

Kątem oka widziała, jak Mark wali o podłogę ręką kobiety pirata. Jeszcze raz, i jeszcze raz. W końcu, jakżeby inaczej, pistolet odleciał na bok.

Zerwał piratce maskę, oczywiście odsłaniając twarz Sun.

Wszystkie jego ruchy były zdecydowane i płynne. Cudownie, na pewno nie jest ranny.

Kiedy Kim przewróciła kuzynkę na brzuch i zaczęła wykręcać jej ręce, drzwi na górze znów się otwały. Tym razem bardzo gwałtownie. Na schodach zaroilo się od tajniaków.

Lepiej późno niż wcale.

Spojrzała na Marka - nie było na nim nawet śladu zadrapania. Potem rozejrzała się dookoła. Piękna scena. Dwie królowny z bajki, Zorro, pani pirat i cały pęczek policjantów w najdziwniejszych kostiumach.

Mark mrugnął do niej wesoło.

Mark. Dżoker. Tylko jej.

I kto tu mówi, że on nie ma poczucia humoru?

Już po wszystkim. Niebezpieczeństwo minęło. Kim, z powrotem w saloniku apartamentu w penthousie, zawiązała mocno pasek puszystego szlafroka. Szczęśliwa, że pozbyła się różowej sukni królowny. I że pozbyła się także drogiej kuzynki i Sun, które właśnie przewożono na posterunek.

Oczywiście skontaktowała się już z kapitanem Pearsonem, nawet uzyskała od niego informacje. Pierwszą suknię sprawdzono. Okazało się, że była nafaszerowana drogocennymi kamieniami i ozdobami z metali szlachetnych o wartości co najmniej dziesięciu milionów dolarów.

Masakra! Kim usiadła ciężko na sofie. Kiedy wróci do pracy, kochani kumple nie dadzą jej spokoju. Na jej szafce na pewno wymalują diadem. Ale w sumie to drobiazg, którym nie warto się przejmować, gdy ma się inne i naprawdę ważne sprawy na głowie. Teraz przede wszystkim nadszedł czas, żeby złożyć razem te dwie połówki swojej osoby i nauczyć się z tym żyć. Poza tym jak najszybciej odwiedzić babkę, pocieszyć ją i

wyznać przez tyle lat głęboko skrywaną tajemnicę, co dla zrozpaczonej babki będzie jakąś pociechą. Do więzienia powędruje nie księżniczka Ting, lecz jej kuzynka.

Ona zaś ujawni swoją prawdziwą tożsamość, zachowując jednak imię Kim. Nigdy w życiu nie potrafiłaby już o sobie myśleć jako o Ting. Zbyt wiele ją kosztowało budowanie nowego życia jako Kim.

Do wszystkiego doszła ciężką pracą, a to było coś, o czym jej zepsuta kuzynka miała bardzo nikłe pojęcie. Kiedy zjawiła się policja, przede wszystkim zaczęła głośno się domagać specjalnego traktowania. Wyglądała po prostu żałośnie. Zaryczana, z rozkwaszonym nosem, najpewniej złamanym. Ale wiadomo, droga kuzynka na pewno wykorzysta swoje znajomości w wyższych sferach i wyrok będzie bardzo łagodny. Jak zwykle wyląduje na czterech łapach.

Pozostawał jeszcze jeden problem.

Co sądzi Mark o tym ostatecznym biegu wypadków?

Mark, który właśnie stanął w drzwiach i oparł się o futrynę. Ubrany w spodnie od dresu i T-shirt, wyglądał powalająco. Jak we wszystkim zresztą.

- Nareszcie spokój. Twoi kumple się rozeszli. Co teraz, Kim? Zadzwoń po taksówkę? Dokąd chcesz jechać, do domu czy na posterunek?

Milczała, bawiąc się paskiem szlafroka. Była zdezorientowana. Teoretycznie powinna mieć ochotę tylko na jedno. Gnać na posterunek, żeby się przekonać, czy udało jej się wygrać zakład. Ale ta ochota jakby przeszła.

- Fakt - odezwała się po chwili. - Powinnam jechać na posterunek i zająć się papierkową robotą. Założyłam się z koleżankami. Wygrywa ta, która pierwsza wykona swoje zadanie. Oczywiście, że chciałam wygrać, ale teraz, gdy patrzę na to wszystko przez taki filtr... rozumiesz, życie i śmierć... Nie, teraz cały ten zakład wydaje mi się po prostu bez znaczenia. Szczerze mówiąc, najchętniej zostałabym tutaj. Apartament wynajęty jest do jutra. Chciałabym z tobą pogadać. - Rzykowała, oczywiście, ale wiedziała, że gdyby tego nie zrobiła, nigdy nie przestałaby żałować. - Chcę być z tobą, Mark, o ile jeszcze mnie chcesz. A myślę, że... tak.

- Pewnie, że chcę, Kim. Tyle tylko że powinniśmy sobie pewne rzeczy wyjaśnić.

- Jakie rzeczy?

- No... chociażby kwestia twojej tożsamości. Nigdy ponoć nie żałowałaś, że przestałaś być księżniczką. Tak mówiłaś, ale czy taka jest prawda?

- Tak było, ale teraz... - Kiedy pomyślała, co by się stało, gdyby kuzynce udało się urzeczywistnić swoje zamiary... - Teraz,

Mark, mam inne zdanie. Nie wolno wypierać się samego siebie. - Problem tylko w tym, czy z tego właśnie powodu nie straci się człowieka, którego się kocha.

- Wszyscy dowiedzą się, kim jesteś naprawdę. Dasz sobie z tym radę?

- Oczywiście! Scenariusz jest bardzo prosty. Najpierw będą rozpisywać się o tym w gazetach. Tylko czyhają na najświeższe plotki z życia rodzin królewskich. Myślę, że najlepiej będzie od razu udzielić kilku wywiadów wybranym dziennikarzom. Cóż, na początku będzie trochę

gorąco, ale z czasem wszystko przyschnie. A potem... potem ja i tak nie będę jeździć do Cantou częściej niż raz do roku. Chyba że zdarzy się jakaś szczególna okazja. Poza tym... poza tym cały posterunek będzie się ze mnie nabijać.

- Oczywiście. Nie darują sobie. Kim, i jeszcze jeden problem. Nie jestem pewien, czy nadaję się na księcia małżonka.

Ale będzie nim. Innej opcji nie ma. Uśmiechnęła się.

- Zależy, jak na to spojrzysz, Mark. Podszedł do niej i objął w pól. Jej książkę, w spodniach od dresu tak samo imponujący jak w paradnym mundurze obwieszonym medalami

- Kim, czy to twoje... spojrzenie uwzględnia spotkania ze mną? Randki na poważnie, chociaż nie jestem najlepszym materiałem na księcia?

- No cóż... Trzeba przyznać, że od razu przystępujesz do rzeczy.

- To zrozumiałe. Jestem poważnym człowiekiem. Zawsze taki byłem. Dwa lata temu rozstaliśmy się. Próbowałem się z tym pogodzić, ale nie wyszło. Myślę, że moja była narzeczona wyczuwała pismo nosem, dlatego ze mnie zrezygnowała. Te dwa lata, kiedy nie potrafiłem zapomnieć o tobie, mówią same za siebie. Chcę wystąpić o przeniesienie do Las Vegas. Będziemy mogli spędzać z sobą dużo czasu i przekonamy się, co tak naprawdę do siebie czujemy.

Przez dwa lata myślał o niej... Wzruszona Kim pogłaskała policzek zeszpecony blizną, która przypominała, jak cenny jest każdy dzień życia. Nie wolno marnować ani sekundy.

- O tobie też trudno było zapomnieć, Mark.

- Myślałaś o mnie?

- Nieustannie. Uświadomiłam to sobie, kiedy znów cię zobaczyłam po tych dwóch latach. A dziś wieczorem, kiedy strzelano do ciebie, tak się bałam, że mogłabym cię stracić. Stracić kogoś, kogo Kocham... To były straszne chwile, ale nie ma co rozpamiętywać. Kocham cię, Mark. Przy tobie nauczyłam się być i księżniczką, i gliną. Po prostu.

- O właśnie! Bardzo mi się to podoba!

- A miłość... to wielkie ryzyko, ale z tobą gotowa jestem je podjąć.

Uśmiechnął się i musnął wargami jej usta. Delikatnie, tak na początek. Przecież od tej chwili będzie całował ją niezliczoną ilość razy.

- Nie będziesz niczego żałować, księżniczko. I wcale nie ryzykujesz. W tym przypadku grasz na pewniaka.

RS